Władysław Mendyka[1]

WĘZEŁ KRWI. OPOWIEŚCI RODZINNE

Cel mój jest zgodny z potrzebami ducha rodowego, aby wedle sił i zdolności utrwalić w księdze niniejszej fragmenty zdarzeń w naszej rodzinie, która żyła i działała jako najmniejsza komórka społeczeństwa polskiego. Nasza rodzina przeżywała wszystkie troski, trudy i prześladowania, ale także powodzenie oraz radości życia. Chociaż może wszystko niszczy się i zmienia, choć uczucia przygłusza wrzask świata, wszak nie zginą z przeszłości wspomnienia, z nich są najdroższe dziecinne lata. Nigdy nie zginą. One osłodą będą w starości, szczęśliwych wspomnień, słów kartą jedyną. No, cóż, z takim apelem zabieram się do żmudnej pracy. Nie zdziałam wszystkiego od razu… Ale tylko wytrwałości mi potrzeba! I choć los rzuci mnie w nieznane strony, choć będę cierpiał prześladowania – natchnienie będę brał z historii naszego narodu, który z ponadstuletniej niewoli wyzwolił się tylko dzięki hartowi ducha i wiary. Niech ten pamiętnik będzie wiernym odbiciem zdarzeń, które były udziałem naszej rodziny. Niech to będzie kronika rodzinna, a odtworzone w niej sceny i epizody powiążą nasze pokolenie praojców, pradziadków, rodziców, dzieci i wnuków w taki zdrowy węzeł krwi, która płynie od wieków w naszych polskich żyłach.

Wydarzenia związane z moją drogą życia pragnę utrwalić dla moich spadkobierców. Nie pozostawiam żadnego majątku, dlatego te epizody utrwalone w tych księgach będą śladem przodków naszej rodziny. Gromadzenie dokumentów, wspomnień i fotografii pomaga mi w odtworzeniu biegu

[1] Władysław Mendyka (1908-1978) – kronikarz, badacz historii rodziny, ukończył Seminarium Nauczycielskie w Krotoszynie. Przedwojenny nauczyciel w przygranicznych wioskach i miasteczkach Wielkopolski: Mnichowice, Domasłów k. Bralina, Jankowy, Mąkoszyce. Podporucznik WP w kampanii wrześniowej 1939 roku. Pasje pedagogiczne i kronikarskie przekazał swoim dzieciom. Dzieło ojca Władysława kontynuuje syn Grzegorz Mendyka (urodzony w 1944 roku w Żychlewie) – chemik po studiach na Politechnice Wrocławskiej, pracownik ELWRO, fascynat historii rodzinnych, popularyzator genealogii, były wieloletni prezes Śląskiego Towarzystwa Genealogicznego we Wrocławiu, pomysłodawca mobilnego „Gabinetu Genealogii Rodzinnej". Prezentowane fragmenty wspomnień pochodzą z rękopisu *Węzeł krwi. Kranika rodziny Władysława Mendyki,* księgi 1-13. Powstawał on od roku 1925 do śmierci autora. Przechowywany jest obecnie w archiwum domowym rodziny Mendyków. Wyboru i opracowania redakcyjnego tekstu dokonali Grzegorz Mendyka i Robert Czub.

naszego żywota. Jestem przekonany, że efektem moich notatek będzie wzbogacenie wiedzy o naszych przodkach – o trudzie, walce i pracy naszych ojców i matek, nas samych. W gromadzeniu dokumentów – wy dzieci i wnukowie powinniście wziąć udział i gromadzić zapiski ze swego życia i najbliższych, których pamiętacie. Bądźcie więc wytrwali, aby rozpoczęte dzieło mego życia nie zostało zaprzepaszczone. Księgi, albumy fotograficzne oraz dokumenty zabezpieczcie przed zniszczeniem, trzeba je trzymać w szafie lub biurku pod zamknięciem, a do czytania przekazywać tylko dorosłym członkom rodziny, którzy po zapoznaniu się z ich treścią zwrócą wypożyczone dzieła prawowitym spadkobiercom. A spadkobiercami będą moje dzieci, którym te księgi poświęcam.

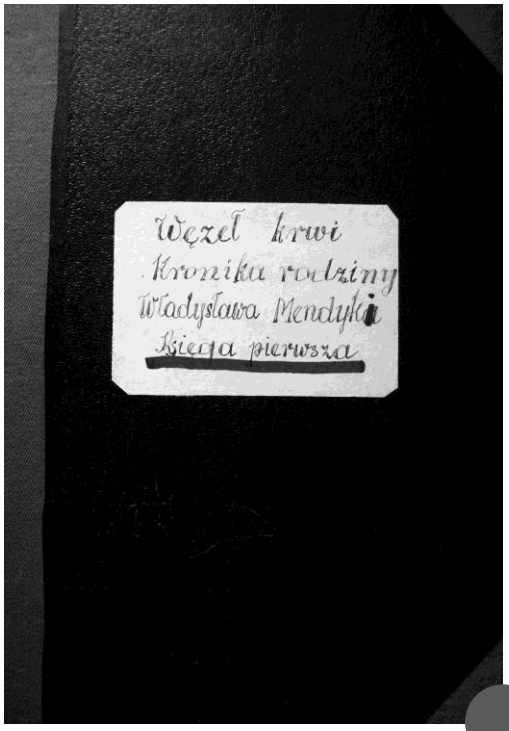

Księga pierwsza Kroniki Władysława Mendyki

Dzieje zapomniane

Przyszedłem na świat na ziemi krobskiej, w małej kilkuzagrodowej wiosce Kuczynce. Okolica spokojna, lud pracowity, ambitny, przywiązany do ziemi, z której trudno było go wysadzić. Urodziłem się 25 maja 1908 roku jako pierwszy syn, tak pożądany w rodzinie rolnika potrzebującego chłopaka do pracy w polu. Moje siostry, Wiktosia, jako najstarsza z rodziny, miała największy głos do rozkazywania, ale za nią Marysia, cztery lata młodsza i Jasia pięć lat młodsza od najstarszej urabiały stosunki w rodzinie. W miarę

jak podrastałem, trzy siostry miały u mnie coraz większy posłuch. Umiały jednak wymóc spełnienie poleceń. Umiały też trzymać sztamę w rodzinie. Rodzice byli tak zajęci przez cały dzień uganiania się za sprawami gospodarskimi, że dzieci młodsze pod opieką dziadków miały jedyny kontakt, wspólne rozmowy, opowiadania, wspomnienia. Gdy byłem starszy, często po kryjomu wkradałem się na górę (strych), gdzie ojciec przechowywał swoje bogactwa. Był tam wielki kufer, opasany paskami i zamknięty na dwa zamki. Umiałem go otworzyć. Ujrzałem wiele ciekawych rzeczy, których dotąd nie oglądałem. Obok wielu książek polskich, kalendarzy rolniczych, papierów urzędowych, były osobiste zapiski. To przepisywane notatki o gospodarstwie, pieniądzach, a także wiersze i pieśni patriotyczne. Umiałem już wtedy czytać, bo w domu musiałem uczyć się po polsku z elementarza Chociszewskiego. Siostry były wymagające i nie przepuściły, abym nie nauczył się zadanej stronicy z elementarza. W niedzielę ojciec i matka sprawdzali, jak daleko umiem czytać i pisać.

Do szkoły elementarnej chodziłem do Ciołkowa – trzy kilometry oddalonego od Kuczynki. W szkole uczono nas tylko po niemiecku: czytać, pisać i rachować. Najpierw było dwóch nauczycieli: Niemiec Komczyński i Polak Mroczkiewicz. Lecz w czasie wojny zabrano jednego, a potem drugiego i szkołę zamknięto. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej rozpoczęła się nauka, ale już tylko po polsku. Zaczęto także uczyć historii o królach polskich, geografii i przyrody. Czytałem dużo książek i zapragnąłem uczyć się dalej. Ba, ale to nie było łatwe. Wszak miałem mało wiadomości, aby zdać egzamin do szkoły średniej. A druga największa przeszkoda to siostry, które wpływały na rodziców, abym jako najstarszy chłopak pracował końmi w polu i pomagał w gospodarstwie. Lecz rodzice trzymali moją stronę i wszystkie argumenty zbijali. Nauczyciel Mroczkiewicz przygotował mnie do egzaminu w Seminarium Nauczycielskim w Krotoszynie. Zdałem i zostałem przyjęty – ku zmartwieniu sióstr. Rodzice stracili pomoc w gospodarstwie, a nadto ponieśli duże wydatki na naukę moją w Krotoszynie.

Z wdzięczności za dobroduszność drogich mi Rodziców i umożliwienie jako pierwszemu z rodziny zdobycie wiedzy pragnę utrwalić w księdze niniejszej nasze dzieje. Głównym źródłem historii rodziny jest pamięć osób, które udzieliły mi informacji. Skromne to materiały, ale dlatego właśnie pragnę je uratować od zagubienia. Będące w mojej dyspozycji, pragnę utrwalić dla moich dzieci i wnuków w nadziei, że znajdzie się może choćby jeden mój potomek, który dzieło pisania historii rodziny poprowadzi dalej. Na tle ogólnych stosunków gospodarczych, politycznych i społecznych tworzyła się historia moich przodków, których nieustannie prześladowano. Nie mamy już zapisków mego ojca, bo zabrali je hitlerowcy po wywłaszczeniu z gospodarstwa w czasie drugiej wojny światowej.

Przodkowie moi wywodzili się z ludu roboczego, który nie miał dostępu do nauki i wiedzy. Byli oni niepiśmienni i nie pozostał żaden ślad po pierwotnych przodkach. Prusacy w Polsce porozbiorowej tępili wszelkimi sposobami wszystko to, co polskie. Cały aparat pruski był nastawiony na stosowanie represji, aby obok kultury polskiej osłabić i zniszczyć polski stan posiadania. Dziadkowie i rodzice moi cały dzień harowali na roli w gospodarstwie, przeto nie byli w ogóle w stanie spisywać zdarzeń im współczesnych. Wiele jednak pozostało z ich opowiadań. Moja siostra Andzia – siostra zakonna Kasylda – udała się na moją prośbę do biura parafialnego w Krobi i odtworzyła daty i rodowody naszych przodków od roku 1786. Z ogólnego rzutu na pierwotne dzieje naszej rodziny wiemy, że rolnictwo było podstawą jej utrzymania i rozwoju. Krobia, najpierw jako osada, następnie miasto jest znana od wczesnych czasów osadnictwa. Wokół tej osady tworzyły się skupiska ludzkie na terenach wykarczowanych lasów, dogodnych dla osadnictwa, bo dość wysoko położone nie były zalewane przez rzeki, wówczas zupełnie nieregulowane (Warta, Barycz).

[…].

W roku 1693 nastąpił niespotykany dotychczas wielki wylew Warty. Całe połacie ziemi zalane wodą zostały ogołocone z plonów. Później nastąpił wielki najazd szarańczy, a plaga ta zniszczyła w kolejnym roku cały urodzaj. Długo pamiętali ludzie te plagi, przeciwko którym nie mogli znaleźć środków zaradczych, jedynie żarliwą modlitwą starali się przebłagać: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny – wybaw nas, Panie”! Była to jedyna nadzieja, że miłosierny Pan Bóg raczy ulitować się nad biednym ludem i „powstrzyma karanie boskie”.

Wielkopolska nawiedzona pomorem i wojnami została wyludniona. Wzrastająca na wsi nędza była główną przyczyną dużej śmiertelności. Na wyludnione ziemie zjeżdżali osadnicy z Holandii, Niemiec, Czech. Panowie sami sprowadzali ludzi do pracy na roli. Na tereny mokre, na Kujawy i ziemię nadnotecką, zostali sprowadzeni osadnicy z Holandii, którzy byli obeznani z osuszaniem mokradeł. Nazywano ich „olędrami”. Rząd pruski zaraz po rozbiorze Polski zaczął osadzać w Wielkopolsce kolonistów niemieckich. Im przydzielano najlepsze okolice i ziemię oraz budowano dla nich osady. W ten sposób powstały w okolicy Krobi zupełnie nowe kolonie złożone z samych Niemców: Chumiętki, Wymysłowo. Osadnicy ci od rządu pruskiego, swego protektora, otrzymali nadzwyczajne ulgi: byli zwolnienie od podatków, dostawali długoterminowe, bezprocentowe pożyczki i dużą pomoc materialną na zakup narzędzi gospodarskich, bydła, materiałów na budowę domów mieszkalnych i budynków gospodarskich.

W roku 1793 wojska pruskie wkroczyły do Wielkopolski, której ziemie po zajęciu zostały wcielone do Prowincji Pruskiej. Prusacy od razu wprowadzili niemieckie urzędy i sądy pruskie. Powiatem zarządzał landrat,

który zatwierdzał w każdej wsi wybieranych sołtysów, którymi mogli być ludzie piśmienni i znający język niemiecki, jako urzędowy. W Kuczynce oraz w wioskach powiatu gostyńskiego Prusacy narzucili swoje prawa. Po powstaniu kościuszkowskim rząd pruski skonfiskował dobra kościelne na rzecz skarbu pruskiego. Następnie rozdawał je pruskim urzędnikom i junkrom.

Władze pruskie budowały szkoły elementarne, w których wprowadzano język niemiecki oraz nauczycieli niemieckich. Wojna Napoleona w latach 1806-1807 nie przyniosła ziemi wielkopolskiej większych zmian. W lipcu 1807 roku Napoleon w porozumieniu z carem rosyjskim Aleksandrem utworzył Księstwo Warszawskie. W jego skład weszły także ziemie drugiego zaboru pruskiego.

W roku 1815 Prusacy po raz trzeci opanowali Wielkopolskę i nadali jej nazwę „Wielkie Księstwo Poznańskie". Teraz Prusacy rozpanoszyli się w Wielkopolsce na całego. Wkrótce wprowadzili szerokie reformy rolnictwa oraz nadali chłopom prawa do własności i wolność osobistą. Wtedy szlachta rozpoczęła samowolnie usuwać chłopów z ziemi. Były to tak zwane masowe rugi, aby w ten sposób zmniejszyć ilość chłopów uprawnionych do uwłaszczenia. W myśl dekretu króla pruskiego 8 kwietnia 1823 roku[2] regulacja stosunków wsi wielkopolskiej polegała na nadaniu chłopom własności ziemi dotąd przez nich użytkowanej, na zniesieniu pańszczyzny, danin i rozmaitych, a licznych obowiązków wobec dworu. Regulacji miały podlegać tylko te gospodarstwa, które były zdolne wyżywić ich posiadacza, jako rolnika samodzielnego.

[…].

W roku 1829 w powiecie wschowskim (koło Leszna) trzy wsie: Oporowo, Oporówko i Grabowiec stanęły solidarnie do walki z dziedzicem Józefem Morawskim, który sprowadził ze Wschowy 150 żołnierzy, aby bezbronnych chłopów wyrzucili poza granice wsi. Opór został brutalnie złamany, a 38 rodzin (w tym kobiet, dzieci, starców) pozostawiono pod gołym niebem przez trzy tygodnie. Eksmitowani chłopi stracili prawo do ziemi i zostali rozproszeni po okolicznych dworach jako robotnicy rolni. Zaś gospodarstwa w tych wsiach zostały obsadzone przez chłopów obcych, sprowadzonych z innych majątków.

[2] Na ziemiach polskich uwłaszczenie chłopów najwcześniej dokonało się w zaborze pruskim, gdzie w 1808 roku władze rozpoczęły eksperyment z uwłaszczeniem w dobrach państwowych. W 1811 roku zainicjowano je w majątkach prywatnych, co – należącą wówczas do Księstwa Warszawskiego – Wielkopolskę objęło dopiero w roku 1823. Założeniem pruskiego uwłaszczenia było dopuszczenie do niego jedynie bogatych włościan. Wyłączenie z tego procesu ludności bezrolnej i małorolnej miało tę zaletę, że mogła ona pozostać siłą roboczą dla wielkich majątków. Aż do 1850 roku uwłaszczyć się mogli tylko chłopi, których stać było na zapłacenie odszkodowania i to za zgodą właściciela ziemskiego.

Na wsi wielkopolskiej nastała bieda. Często zgłodniali ludzie dopuszczali się kradzieży z pól panów dziedziców, za co w razie wykrycia czekała sprawców niewspółmiernie wysoka kara. Toteż zdarzały się akty rozpaczliwego dochodzenia sprawiedliwości ludzkiej. Najczęściej takie wypadki powtarzały się w latach nieurodzaju i klęsk żywiołowych. Rósł niepokój na wsi wielkopolskiej, hamowany przez księży. W tych warunkach młodzież ze wsi nie miała możliwości kształcenia się w szkołach elementarnych. Brak było środków, był też opór władz w dopuszczaniu synów chłopskich do szkół. Dziedzicom potrzeba było tylko robotników.

Tu muszę opisać znany w naszej rodzinie podstęp Prusaków przy wywłaszczeniu naszego pradziadka w Kuczynce. Bartłomiej Piotrowiak urodził się około roku 1790 i pochodził z rodu kmieci. Po rodzicach odziedziczył folwark o powierzchni pól uprawnych i łąk ponad 100 mórg magdeburskich, to jest 25 ha. Budynki były proste, ale wystarczające na pomieszczenie 10 par wołów wykorzystywanych do pracy w polu. Prócz tego obszerne podwórze, otoczone zabudowaniami służyło jako pomieszczenie dla wielkiej ilości różnego inwentarza żywego – liczne stado owiec i baranów, kaczki, gęsi, kury, świnie, krowy, jałówki i cielaki. Sprzęt rolniczy potrzebny do orki: włóki, brony, radła, kremery, a także wozy i smyki, którymi przewożono sprzęt i gnój na pola.

Bartłomiej ożenił się, ale wnet owdowiał. Dla podołania w gospodarstwie musiał wnet sprowadzić nową żonę i gospodynię. Poznał ją w Żychlewie, u Franciszka i Łucji Puśledników. Ich córka Franciszka wyszła za naszego pradziadka Bartłomieja 15 stycznia 1827 roku. Ślub odbył się w Krobi. Gospodarka szła im bardzo dobrze, bo oboje znali się na uprawie zbóż i hodowli trzody. Prusacy z zazdrością przyglądali się bogatemu Bartłomiejowi Piotrowiakowi i szukali sposobu zajęcia urodzajnej ziemi. W tym czasie we wsiach pojawiały się komisje: urzędnik niemiecki wraz z tłumaczem polskim i członek Komisji Kolonizacyjnej. Stosowali różnego rodzaju represje, straszyli gospodarzy, że będą musieli płacić bardzo wysokie podatki. Spisywali u każdego gospodarza ilość posiadanej roli, bydła, koni, inwentarza żywego i sprzętu rolniczego. Jednocześnie tłumaczyli im, że od każdego wołu, konia będą płacić zwiększone podatki. Podstępnie też doradzali, aby podawali mniejsze liczby niż faktycznie posiadali, a wtedy już nie trzeba będzie płacić tak wielkich podatków.

W końcu po namowie sami wpisali Bartłomiejowi Piotrowiakowi, że posiada do obróbki 100 mórg jednego woła oraz jedną krowę i jedno cielę. Gdy akt był spisany na specjalnych formularzach, kazali niby to bardzo życzliwie się podpisać. Ponadto na czystym papierze kazali złożyć podpis, jako „wniosek o zmniejszenie podatku". Dobroduszny pradziadek podpisał. Bartłomiej Piotrowiak nigdy nie chodził do szkoły. Sam tylko nauczył się w domu trochę czytać i pisać, umiał się także podpisać. Ale tę znajomość osiągnął, gdy był dorosłym już i doświadczonym gospodarzem. Po pewnym cza-

sie przyszło do pradziadka pismo urzędowe z Poznania, w którym władze pruskie stwierdzały, że Bartłomiej Piotrowiak z Kuczynki posiada tylko jednego woła, a ziemi nie chce mieć, bo nie jest w stanie jej obrobić. Wywłaszczyli go więc z ziemi na podstawie własnoręcznie podpisanego wniosku. Było to pismo sporządzone przez urzędników nad podpisem pradziadka na owym złożonym czystym papierze. W krótkim czasie potem otrzymał pismo z urzędu z Poznania, że posiada tylko 15 mórg magdeburskich ziemi i jednego woła, przy czym poinformowano, że i tak poprzednio nie był w stanie obrobić ziemi z uwagi na odrabianie pańszczyzny, albowiem pięć dni w tygodniu pracował dla pana. Otrzymawszy to pismo, Bartłomiej Piotrowiak od razu zorientował się, że został oszukany. W gniewie pieszo wyruszył do Poznania, do urzędu, aby wycofać podstępnie zdobyty przez urzędnika podpis.

Odprawiono go z kwitkiem. Droga do Poznania nie była łatwa, bo kolei ani innych środków lokomocji nie było. Pradziadek kilka razy chodził pieszo do Poznania, ale nic już nie mógł zrobić. Nie pomagały prośby, gniew i tłumaczenia. Wszystko na nic. Urzędnicy za każdym razem pokazywali uparcie jego własnoręczny podpis na kłopotliwym piśmie. Ciężkie to były dni udręki, lekceważenia i poniewierki. Rodzina cierpiała upadek gospodarstwa i wywłaszczenie. Cała rozpacz odbiła się na zdrowiu domowników. Nigdzie nie mogli znaleźć obrońcy ani naprawić wyrządzonej krzywdy. Zubożałe gospodarstwo pradziadek zapisał swojemu synowi Filipowi, a sam przeżywszy lat 81, zmarł 2 lutego 1871 roku.

[…].

Ojciec mój Franciszek zawsze, od najmłodszych lat, należał do Kółka Rolniczego w Krobi. Z każdego niedzielnego zebrania przywoził do domu wiadomości o nowościach rolniczych ze świata. Korzystał także z Towarzystwa Czytelni Ludowych, a książki były czytywane przez całą rodzinę, szczególnie w porze zimowej. Franciszek Mendyka żył 72 lata, 4 miesiące i 23 dni (1868-1940). Urodził się w Grabianowie (powiat gostyński) 12 stycznia 1868 roku jako syn Filipa Mendyki urodzonego w 1833 roku w Domachowie oraz Elżbiety z domu Fórmanowska, urodzonej 13 listopada 1832 roku. Ojciec mój do szkoły chodził do Krobi, a potem dalej uczył się u kowala Moderskiego. Po wyuczeniu się rzemiosła kowalskiego wyszedł w świat szukać zarobku i dobrej nauki. Zwiedził Westfalię (Niemcy). 2 lutego 1898 roku odbył się jego ślub w Krobi z Antoniną z domu Piotrowiak z Kuczynki. Od chwili założenia rodziny ojciec osiedlił się na stałe w Kuczynce i został rolnikiem na gospodarstwie odziedziczonym po swoich teściach: Filipie Piotrowiaku, urodzonym 23 maja 1833 w Kuczynce i Małgorzacie z domu Pakosz, urodzonej 8 lipca 1839 roku w Chwałkowie.

Grabianowo koło Krobi jest rodzinną wsią mego ojca. Tutaj się urodził i wychował. Stąd w wieku szkolnym aż do lat młodzieńczych codziennie trzy kilometry drogi wydeptywał, aby udać się do szkoły, do kościoła i na

naukę rzemiosła w Krobi. Wieś składa się z 15 gospodarstw bez folwarku. Już w roku 1510 była własnością biskupa, a według rękopisu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu (nr 596) w roku 1860: „Ludność Grabianowa jest czysto słowiańska, posiada charakter żywy, czytać umie, jest zdrowa i czerstwa – mężczyźni noszą kapelusze". Gospodarze Grabianowa siedzieli na swych gospodarstwach całe już wieki i wyrobili sobie dobre imię w całej okolicy. Z historii rozwoju Grabianowa dowiadujemy się, że: w roku 1798 było osiem dymów, to znaczy rodzin, w roku 1834 było 93 dusz, w roku 1880 –15 dymów, w roku 1900 – 15 gospodarstw o łącznej powierzchni 261,2 ha, w roku 1905 – 127 mieszkańców, a w roku 1910 – 128 mieszkańców.

Skąd nasze nazwisko „Mendyka"?

W Seminarium Nauczycielskim w Krotoszynie dyrektor na lekcji historii pewnego razu wywołał mnie do odpowiedzi. „Czy ty umiesz historię"? pyta mnie – „Umiem, panie dyrektorze" odpowiedziałem. – „No to powiedz mi, od czego czy od kogo wywodzi się twoje nazwisko?". Nie umiałem odpowiedzieć ani słowa. Wtedy dyrektor wytłumaczył mi przed całą klasą, że w wiekach średnich biedni studenci, tak zwani żakowie, nazywani mendykantami chodzili po domach z garnuszkiem po obiady. Nie było internatów. Mendykanci kształcili się w akademikach, a utrzymanie dawali im mieszczanie. Z tych biednych żaków wyszli wielcy ludzie. W *Słowniku* Lindego (s. 69), pod hasłem „Mendyka" znajduje się takie oto wyjaśnienie: „Mendyka-Mendyk, (łac. – znaczy żebrak, po niemiecku – ein Bettler" […]. Taka jest etymologia słowa według *Słownika* Lindego. Niewątpliwie nasz przodek nosił nazwisko „Mendyk", ale jego syna nazywano: „Bartłomiej, syn Mendyka"[3]. Zapis w metryce już został w tej postaci utrwalony na stałe. Wyciąg dat z życia naszych przodków pochodzi z ksiąg metrykalnych znajdujących się w biurze parafialnym w Krobi[4].

[3] „Biuletyn Rodzinny Rodu Mendyków" 2001, nr 9 (wydanie rodzinne, niepublikowane) podaje szersze informacje na temat etymologii nazwiska. O pochodzeniu i pierwotnym znaczeniu nazwy *mendykant-mendyk(a)* pisał Władysław Mednyka w „Biuletynie Rodzinny Rodu Mendyków" 1977, nr 1, powołując się na *Słowniki języka polskiego* Lindego i Arcta: *mendykant* (z łac.) – żak, żebrzący. Naukowe wyjaśnienie etymologii nazwiska dał Instytut Języka Polskiego PAN, Zakład Onomastyki, Pracownia Antroponimiczna, powołując się na: *Słownik staropolskich nazw osobowych*, tom III, Warszawa 1971; *Słownik etymologiczno-motywacyjny staropolskich nazw osobowych*, cz. 1, *Odapelatywne nazwy osobowe*, Kraków 2000; *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego*, Warszawa 1885; *Słownik nazwisk współcześnie w Polsce używanych*, Kraków 1993. Mówiąc najkrócej, badacze wywodzą nazwisko od apelatywu *mendyk* – „żebrak", łacińskiego *mendicus* – Sobco Mendicus, rok 1400; Stanislaw Mendicus, rok 1421 i czeskiego *mendik* – „żebrzący student", zaś Mendykowski od wsi Mendykowce.

[4] Być może należałoby rozważyć jeszcze jedną hipotezę dotyczącą nazwiska Mendyka. W roku 1209 Franciszek z Asyżu założył zakon franciszkanów, z którego dalej wyłaniały się

W okresie pierwszej wojny światowej 1914-1918 wielu zdrowych gospodarzy, ojców rodzin nie wróciło, zginęli na polach walk w różnych częściach świata. Gospodarstwa podupadły. W Grabianowie mieszkała siostra mego ojca, ciocia Sikorowa z mężem i dziećmi. Chłopcy Sikorów pożenili się z dala od Grabianowa, a na miejscu pozostał inwalida z pierwszej wojny światowej, Franek Andrzejewski. Nosił się po biskupiańsku, podobnie jak jego żona. Stroje ludowe były u nich w wielkiej pieczy. Nosili je wyłącznie w niedziele i dni świąteczne, szczególnie do kościoła, na weselach i w procesjach. Gospodarzyli na ojcowiźnie przez długie lata wzorowo, ale tradycyjnie uprawiali zboża kłosowe: żyto, pszenicę, jęczmień i owies. Także rośliny okopowe, jak: ziemniaki, buraki pastewne, brukiew oraz rośliny paszowe: koniczynę, seradelę i mieszankę zieloną. Hodowla ograniczała się u nich do kilku krów, trzody chlewnej i cielaków. Mieli też dwa konie robocze, zawsze klacze corocznie dawały przychówek, aby po roku lub dwóch latach mogły zastąpić stare konie. Najczęściej jednak były sprzedawane.

Kuczynka koło Krobi

Nie znamy początków powstania Kuczynki. Z kronik kościelnych wynika, że w roku 1510 była to wioska zupełnie opustoszała, obejmowała

zakony dominikanów, augustianów, karmelitów, bernardynów i wiele innych odłamów. Wszystkie te zakony zaliczano do tzw. mendykantów, czyli zakonów żebrzących z ideami surowego ubóstwa, miłości przyrody oraz bliźniego, radości życia, nastawionych na działalność dla ubogich, słabych, niezaradnych. Etos mendykański był przeciwstawiany etosowi cysterskiemu (pochwała zaradności, bogactwa, dobrobytu). W wieku XIV zakonnicy – mendykanci zaczęli sprzeniewierzać się tym ideom. Jan Hus opisywał szczegółowo przewinienia zakonników: świętokupstwo i rozpusta w klasztorach – zob. S. K w i a t k o w s k i, *Moralne i społeczne innowacje etosu mendykańskiego w XIII w. w Polsce. Etos cysterski a etos mendykański,* [w:] *Zakony franciszkańskie w Polsce,* t. 1, Kraków 1989. I może spłodzony przez jakiegoś mendykanta człowieczek został nazwany „Mendyka", a przy tłumaczeniu łacińskiego zapisu metrykalnego pozostał już tylko „czyściutki" Mendyka. Ale kiedy to nastąpiło? Możliwe też, że część mendykantów nie wstępowała do zakonów, tylko pozostawali cywilnymi (bez celibatu) kaznodziejami według Reguł Świeckich Zakonu Kaznodziejskiego. I tu jest spore pole do badań. Łacińskie wpisy do ksiąg metrykalnych po roku 1802 podają wyraźnie „Mendyka", ale wcześniej są zapisy: Mendica Casimirus, rok 1794 oraz Gabriel Mendicans, rok 1795; Bartholomeus Mendicans, rok 1802. Kolejne dociekania ujawniły charakterystyczne, różne rozmieszczenie nazwisk Mendyka i Mendyk. Forma żeńska, z końcówką –a występuje głównie w Wielkopolsce, najczęściej w powiecie gostyńskim, co potwierdza tezę o pochodzeniu moich przodków z Domachowa (najwcześniejsze tam notowania nazwiska Mendyka w 1699 roku. Z kolei nazwisko Mendyk (forma męska) występuje dość równomiernie w całej Polsce, acz najczęściej na Śląsku. To sugeruje, iż nazwisko wywodzi się od ww. czeskich studentów „Mendik". Genealogiczne badania baz metrykalnych ujawniły, że metrykalia z krobskiej parafii są również w Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu, w archiwach państwowych Leszna i Poznania, a nawet – jako unikaty – w Archiwum Państwowym w Dreźnie, co odkryłem w bazach mormonów.

8 śladów[5] i folwark. Mieszkańcy płacili dziesięcinę. W roku 1583 właścicielem został Kasper Jaskolecki. W roku 1688 Kuczynkę razem z Kuczyną sprzedaje właściciel Gostyński, a w roku 1755 dziedzic Rudnej Wilczyński, chorąży króla i Rzeczypospolitej ma w posiadaniu Kuczynkę. Po śmierci Wilczyńskiego w roku 1768 syn jego Ignacy jest właścicielem Kuczynki i Pudliszek. Z rąk rodziny Wilczyńskich przeszła Kuczynka w ręce rodziny Pruskich, a później jako wiano dostała się rodzinie Łubieńskich. W roku 1785 wydzierżawił Kuczynkę Wojciech Morawski. Za czasów króla Stanisława Augusta właścicielem Kuczynki był Franciszek Morawski, syn Wojciecha. W czasie zaboru pruskiego Kuczynka była Kennemanna.

Po I wojnie światowej w roku 1918 Kuczynka z Pudliszkami należała do Fenrycha, a następnie do członka jego rodziny z Mikulskich. Ostatnim właścicielem Kuczyny i Kuczynki (folwarku) był Mariusz Sumiński, którego 21 października 1939 roku rozstrzelali Niemcy razem z innymi patriotami na Rynku w Krobi. Szczegółowa *Kronika Kuczynki* jest prowadzona w oddzielnej księdze, którą założyłem w czerwcu 1967 roku z okazji jubileuszu mego brata księdza Jana z Kanady. Dalsze jej prowadzenie należy powierzyć rodzinie w Kuczynce.

Dawniej miejsce, gdzie teraz leży wioska Kuczynka, było bagnem, zarosłym olszyną. Do dziś jeszcze resztki tych bagien są w tak zwanej porąbce. Porąbka też na głównej drodze z Pudliszek do Karca jest porosła trawą i olszynami. Od tego miejsca niedaleko (400 m) znajduje się szaniec szwedzki. Starzy ludzie opowiadają, że tu rozegrała się w roku 1704 bitwa ze Szwedami […]. W 1900 roku we dworze było 12 mieszkańców, zaś we wsi 54. W 1905 roku odpowiednio: 38 i 75. W roku 1910 – 65 i 77 oraz w 1921 roku – 109. Nie znalazłem dalszych danych statystycznych, lecz trzeba stwierdzić, że po odzyskaniu niepodległości Polski w listopadzie 1918 roku gwałtownie wzrastała liczba ludności. Kółka Rolnicze wpływały na wzrost oświaty rolniczej, a stare metody upraw ziemi przyczyniły się do lepszych plonów, było więcej paszy dla koni, krów i trzody oraz dla drobiu. Ubogie chaty rolników napełniały się nowymi meblami i urządzeniami do prowadzenia gospodarstwa domowego. Rolnicy kupowali nowe narzędzia i maszyny rolnicze, co ułatwiało im ciężką pracę w polu i w gospodarstwie. Powiał duch swobody.

[5] Ślad – miara powierzchni używana w Wielkopolsce, zbliżona do włóki lub łanu. Ślad dzielił się na dwa półśledzia albo cztery kwarty roli. Oprócz kwarty stosowano jeszcze mniejszą miarę – kęs roli. Istniała także specjalna kategoria chłopów - półślednicy, posiadająca określoną powierzchnię ziemi. Jeden ślad to około 14,7 ha, K. S o c h a n i e w i c z, *Ślad, półśledzie, kwarta i kęs roli (Ze studjów nad miarami roli w Wielkopolsce w XVI i XVII wieku)*, „Sprawozdania Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk" 1927, nr 1, s. 40-41.

Wieś Kuczyna

Pierwotnie wieś ta nazywała się Kuczyno. Nazwa ta pochodzi od kucza, czyli szałasu, namiotu. Najstarsza nazwa pojawia się w kronikach w 1388 roku. Odnotowano wówczas, że nazwa miejscowości pochodzi od nazwiska „Kucz"/„Kucza". Z Kuczyny wywodzi się rodzina Kuczyńskich herbu Wczele. Właścicielami Kuczyny były rodziny Brylów, a w roku 1418 Ciołkowskich. Wtedy majątki Kuczyna i Pudliszki stanowiły jedną całość. Od 1861 roku aż do 1918 roku majątek należał do Hermana Kennemanna. Po zakończeniu I wojny światowej Kuczynę nabył Mikulski. Ostatni właściciel majątku to Mariusz Sumiński. Kuczyna w czasie niewoli pruskiej do odzyskania niepodległości w roku 1918 nazywała się Kutschina, a w czasie okupacji niemieckiej 1939-1945 Kuschen.

W Polsce są dwie miejscowości o tej samej nazwie. Jedna znajduje się w gminie Krobia, druga to folwark w gromadzie Kąkowa Wola w Bydgoskiem. Kuczynka z kolei jest tylko jedna w całej Polsce. Wieś Kuczyna była znaczniejsza od maleńkiej Kuczynki, choćby z tej przyczyny, że tam była szkoła powszechna. Zbudowana na gruntach majątku Ciołkowo, dlatego zawsze figurowała jako szkoła w Ciołkowie, chociaż była w Kuczynie. Dalej był tam majątek ziemski, pałac zamieszkały przez właściciela ziemi w Kuczynie i folwarku w Kuczynce. Wszyscy urodzeni w Ciołkowie, Kuczynie, Kuczynce oraz w Hubach Ciołkowskich uczyli się w szkole powszechnej od chwili jej zbudowania.

Po drugiej wojnie światowej cały obszar ziemski w Kuczynie został rozparcelowany pomiędzy robotników folwarcznych. Powstały małe, ale samodzielne gospodarstwa rolne i parcelanci otrzymali pożyczki na zagospodarowanie, na kupno inwentarza, narzędzi. Mieli też kilkuletnie ulgi podatkowe. To pozwoliło nowym rolnikom na podniesienie się do samowystarczalnych gospodarzy indywidualnych. Dużą pomocą były też Kółka Rolnicze i Baza Maszynowa. Ciężkie i kosztowne maszyny rolnicze Baza Maszynowa wynajmowała odpłatnie. Głównie były to traktory z pługami, siewniki, żniwiarki, a później nawet kombajny. W ten sposób została zorganizowana pomoc państwa w opanowaniu pierwszych trudności w zagospodarowaniu się nowych rolników, którzy znali dotąd tylko pracę na roli pod zarządem dziedzica.

Dzieje Pudliszek – Majątku, Fabryki Konserw i Stanisława Fenrycha

Nazwa pochodzi od właściciela Marcina Pudliszko. Na podstawie wykopalisk profesora [Józefa] Kostrzewskiego ustalono, że Pudliszki istniały 700-800 lat przed Chrystusem. Była to niewątpliwie mała osada wśród bagien i olszyny. Pierwszą znaną właścicielką Pudliszek była Barbara Pudliszkowska. W roku 1688 sprzedała Pudliszki wraz z Kuczyną i Bodzewkiem Krzysztofowi Gorzeńskiemu (za 93 000 zł i 100 dukatów). Za czasów króla

Stanisława Augusta właścicielem Pudliszek był Wojciech Morawski, a następnie jego syn, Franciszek Morawski, który został później generałem i ministrem wojny podczas powstania listopadowego. To znany poeta wielkopolski. Przed wojną posiadałem piękny zbiorek jego poezji, między innymi *Dworek mego dziadka* z opisem Pudliszek. Niestety, tomik zaginął w latach 1940-1944. Franciszek Morawski był także dziedzicem Luboni. Zmarł w 1808 roku.

Od 18 maja 1823 roku właścicielem Pudliszek był Pruski[6]. Wydał on córkę swą Józefinę za Józefa Łubieńskiego, dając jej w wianie klucz pudliszkowski (wraz z Kuczyną, Kuczynką, Karcem). Do Pudliszek przyjeżdżał znany poeta Cyprian Norwid. Pierwszy raz był w roku 1842, a po raz drugi bawił w 1846 roku. Tu deklamował swoje utwory[7]. Hrabia Józef Łubieński dożył 90 lat i zmarł 31 października 1885 roku. Łubieński sprzedał klucz majątków pudliszkowskich fabrykantowi Webendorferowi z Lichtenstein w Saksonii, który kupił je dla swego zięcia z Mannsteina. W tych rękach Pudliszki z przynależnymi do klucza wsiami były do roku 1861. Następnie wszystkie majątki przeszły w ręce Hermana Kennemanna – jednego z trzech hakatystów i rządzone były przez niego aż do I wojny światowej.

Po roku 1918 Pudliszki nabył radca kapitan Stanisław Fenrych. Otoczył majątek opieką i zagospodarzył, doprowadził do wielkiego rozkwitu. Założył wielkie hodowle rasowych kur, na wielkich obszarach założył wzorowe, nowoczesne sady i ogrody. Słynne były szparagi i groszki pudliszkowskie. Zgromadził kapitał i pobudował fabrykę konserw. Stanisław Fenrych pomagał każdemu, komu trzeba było udzielić pomocy. W Krobi i okolicy wszyscy Polacy znali radcę Fenrycha z dobroczynności. Cieszył się ogromną popularnością wśród rodaków. Oto fragment artykułu, jaki zamieszczono w „Ostdeutscher Beobachter" wychodzącym w Poznaniu, nr 257 z 15 września 1940 roku: „Z 4 000 sztuk białych kur rasy „Leghorn", dalej 160 koni, 300 krów mlecznych, oraz niezliczoną ilość świń i gęsi. Ten majątek stwarza naturalny ośrodek do rozbudowy fabryki konserw itd…". Nie ma tu ani słowa o założycielu i właścicielu Pudliszek Stanisławie Fenrychu, którego Niemcy wywłaszczyli i wywieźli do Tarnowa w Generalnej Guberni.

[…].

W czasie I wojny światowej Stanisław Fenrych prowadził swój majątek Skroppen pod Górą Śląską. Po ustaleniu granic wrócił do kraju ojczystego i stawił się do dyspozycji władz administracyjnych w Poznaniu, gdzie pracował w Urzędzie Wojewódzkim. Po ukazaniu się ustawy o likwidacji majątków ziemskich należących do Niemców, posiadających obywatelstwo niemieckie, Fenrych pertraktował z władzami o kupno całego klucza pudlisz-

[6] Jan z Pudliszek Pruski herbu Prawdzic-Leliwa, www.geni.com i https://krobia.pl [Dostęp: 23 czerwca 2023 roku].

[7] Nie ma dotąd potwierdzenia tego faktu w źródłach.

kowskiego, składającego się z folwarków: Pudliszki, Ziemlin, Karzec, Kuczyna i Kuczynka. Właścicielem tego klucza był rotmistrz von Kotze z Chociczy pod Jarocinem. Von Kotze był zięciem sławnego hakatysty Kennemana. Po tym zakupie Kuczyna i Kuczynka przeszły na własność szwagra Fenrycha – Zygmunta Mikulskiego.

Fenrych zaś objął: Pudliszki, Ziemlin, Karzec i 250 ha lasu w Karcu 1 lipca 1920 roku. Przy objęciu były: gorzelnia, cegielnia, mleczarnia, tartak i elektrownia. W pierwszym roku po objęciu rozbudował cegielnię, aby cegły wystarczyło dla wzrastających potrzeb własnych i okolicznych wsi. Pudliszki posiadały ten przywilej, że drzewa owocowe rosnące przy wszystkich drogach klucza pudliszkowskiego należały do właściciela Pudliszek. Starostwo w Gostyniu dążyło do zniesienia tego przywileju. Lecz Fenrych, aby utrzymać w posiadaniu korzyści z drzew, pobudował fabrykę konserw. Od tego czasu gospodarstwa chłopskie w okolicy przystępowały do plantowania różnych warzyw dla fabryki. Przy budowaniu Fabryki Konserw, dla zaoszczędzenia paliwa, mleczarnię przeniesiono na parter fabryki. Dwa kotły parowe, stojące obok siebie, służyły do uruchomienia fabryki konserw, mleczarni i gorzelni. Z zagranicy zostały sprowadzone najnowocześniejsze maszyny do przerobu warzyw i owoców. Monterzy niemieccy ustawiali maszyny, a polscy fachurzy od razu uczyli się obsługi tych urządzeń. Maszyny pracowały pod nadzorem Polaków, którzy szybko poznali precyzyjne urządzenia i w razie awarii sami je naprawiali.

Z chwilą rozpoczęcia budowy Fabryki Konserw wielkie połacie pól zostały obsadzone drzewami owocowymi, krzewami agrestu i porzeczek. Prócz obsadzenia 100 ha pola wykorzystano wszystkie rowy i drogi na obsadzenie ich drzewami owocowymi. Zakładano liczne okna inspektowe, których liczba z biegiem lat, przy powiększaniu się produkcji, dosięgła 1200 sztuk. Dyrektorem technicznym był dyrektor majątku inżynier rolnictwa ze specjalizacją technologii rolnej. Co miesiąc przez 10 lat przyjeżdżał do Pudliszek profesor Tadeusz Chrząszcz z Katedry Technologii Rolniczej na konsultacje, na których ustalano gatunki owoców i warzyw nadających się do puszek. Ta dziedzina wymagała zaangażowania ogrodnika, inżyniera ogrodnika i specjalisty w genetyce roślin. Pudliszki wyhodowały własny gatunek pomidorów zawierających dużą ilość suchej substancji; wyjaławianie wody z pomidorów przedrażało produkcję. W jednym z budynków gospodarczych zainstalowano fabrykę puszek do konserw. W pierwszych latach trzeba było blachę sprowadzać z Anglii, potem już nabywało się w kraju.

Z biegiem czasu w Pudliszkach zaczęto wyrabiać cukierki, tak zwane obecnie „choinki". Produkowano również wina owocowe. Pudliszki uruchomiły specjalną suszarnię różnych warzyw – przypraw na tak zwaną „włoszczyznę". Była to produkcja masowa, którą brało wojsko polskie.

Pracownicy majątku z czasem przeszli do fabryk i stawali się pracownikami wykwalifikowanymi. Do pracy w polu zabrakło ludzi. Sprowadzano więc co roku około 400 dziewcząt do prac sezonowych z innych części kraju. Dla tych osób trzeba było pobudować baraki. Znaczna część tych dziewcząt wychodziła za mąż w Pudliszkach lub okolicy. W tych warunkach powstał „głód" mieszkaniowy. Zaradzono temu przez pobudowanie dwóch dużych domów mieszkalnych w Kokoszkach, a wioska ta stykała się z Pudliszkami. Rodziny mieszkające w Kokoszkach trzymały swoje krowy w oborze majątku w Pudliszkach. Obie wioski tak rozbudowały się, że granica zatarła się, ale nazwy są do dziś oddzielne.

Zatrudnienie ludności z okolicznych wsi podniosło dobrobyt w okolicy, co dało się zauważyć w strojach i wyżywieniu. Produkcja konserw rozrastała się bardzo szybko, a jakość wyrobów uznana została przez odbiorców i badania naukowe za najwyższą klasę. Polski statek „Batory" zaopatrywał się we wszystkie swoje rejsy tylko w konserwy pudliszkowskie. Statek szkolny „Dar Pomorza" na swój pierwszy podzwrotnikowy rejs, trwający 10 miesięcy, zaopatrzył się w pudliszkowskie masło w puszkach. Zamówienie to wprawiło w duży kłopot właściciela Fenrycha, ale fascynowało go. Krowy dwa tygodnie przed zakonserwowaniem masła trzeba było odpowiednio żywić, żeby wyeliminować z paszy te składniki, które mogłyby się przyczynić do popsucia masła. Po skończeniu rejsu kapitan statku „Dar Pomorza" przysłał fabryce słowa najwyższego uznania i dwie puszki masła, które tę podróż odbyły, co przezorny Fenrych wymusił sobie przy zawarciu tej transakcji. Masło to było zupełnie świeże. Fabryka pudliszkowska miała swoje magazyny w Gdyni, w Warszawie, w Katowicach i w Lublinie. We wszystkich tych magazynach i działach gospodarstwa rolnego w Pudliszkach było zatrudnionych 44 pracowników umysłowych. Do Gdańska były wysyłane świeże jarzyny, szczególnie pomidory i owoce. Do Katowic, prócz jarzyn i owoców, wysyłano drób bity, jajka i miód. Wszystkie produkty sprzedawał przedstawiciel z Pudliszek, który w Katowicach już o godzinie 4.00 wprost z wagonu rozwoził. Ładowanie odbywało się tylko w Karcu, dlatego Dyrekcja Polskich Kolei Państwowych musiała pobudować magazyny na dworcu.

Fabryka Konserw w nowym gmachu pobudowanym w latach 1922-1923 wyrosła na przedsiębiorstwo o szerokiej sławie. Stanisław Fenrych był prezesem Kółka Rolniczego w Krobi, a jego żona prezeską Polskiego Czerwonego Krzyża w Krobi oraz przewodniczącą „Caritasu" przy parafii krobskiej. Fenrych był znany jako wielki demokrata. Jako członek zarządu Cukrowni w Gostyniu, a była to prawdziwa synekura, na jednym z zebrań stawił wniosek, aby chłopom – rolnikom wolno było plantować buraki cukrowe, a wiadomo, że ten przywilej miały tylko majątki ziemskie. Na to otrzymał taką uwagę: „od kiedy to pan, panie Fenrych jest chłopofilem?" Wobec takiego dictum Fenrych złożył urząd w Cukrowni. Lecz rzucone na forum pu-

blicznym ziarno miało wydać pożądany owoc. Chłopi doczekali się prawa plantacji buraka cukrowego, co przyczyniło się do poprawy dobrobytu gospodarstw chłopskich. Gleba w powiecie gostyńskim znakomicie nadawała się do uprawy buraka cukrowego. Cukrownia miała surowiec na cukier, a chłopi paszę: wytłoki, melasę i liście z buraka.

W jedno ze świąt narodowych Stanisław Fenrych ofiarował młodzieży w Pudliszkach komplet instrumentów do orkiestry dętej. Młodzież z fabryki i majątku pilnie zabrała się do nauki i wkrótce wspaniała orkiestra pudliszkowska występowała z własnym zespołem na zabawach ludowych i uroczystościach w okolicy. Opiekunem i dyrygentem tej orkiestry był emerytowany sierżant z orkiestry wojskowej, który został zaangażowany do ćwiczenia młodzieży. Najpopularniejsza ta orkiestra była angażowana przez poszczególne towarzystwa w majątku i okolicy. W majątku było sześć towarzystw: „Sokół" męski, „Sokół" żeński, kółko muzyczne, straż pożarna (własna majątku), Towarzystwo Robotników Rolnych i Leśnych Związku Zawodowego, Towarzystwo Czytelni Ludowych. Prezesi poszczególnych towarzystw byli pracownikami Pudliszek – to fornale, ręczniacy, włodarze, rzemieślnicy. Stowarzyszenia były zawsze aktywne, bo interesował się nimi sam Fenrych. Urządzali więc amatorskie przedstawienia teatralne, różne gry i zabawy w świetlicy lub w lasku buczynowym na drodze Pudliszki-Ziemlin. Oboje Fenrychowie często razem bawili się z młodzieżą.

Po odzyskaniu niepodległości nie obowiązywało przymusowe ubezpieczenie pracowników rolnych w Ubezpieczalni Społecznej (Kasa Chorych). Majątek zobowiązany był leczyć pracowników na własny koszt. Stanisław Fenrych rozwiązał to zagadnienie w pomysłowy sposób. Wykorzystał ładne miejsce *vis à vis* dworu-pałacu w Pudliszkach, gdzie pobudował izbę przyjęć dla chorych oraz zakupił niezbędny sprzęt lekarski. Została zaangażowana siostra Czerwonego Krzyża, która asystowała lekarzowi w czasie przyjęć. Lekarz przyjeżdżał co tydzień, a w nagłych wypadkach zawsze natychmiast był wzywany. Ambulatorium na wsi było prawdziwym dobrodziejstwem dla chorych, szczególnie dla dzieci, zaniedbanych niejednokrotnie przez matki. Nad nimi opiekę objęła siostra pielęgniarka. Do ambulatorium zgłaszali się często starsi z chorymi nogami, które zaniedbane miały ropiejące rany. Na całą okolicę było znane to ambulatorium.

Dla małych dzieci Fenrych pobudował w Pudliszkach salkę jako przedszkole czynne przed południem; popołudniu wypożyczano w nim książki czytelnikom. Było w tej salce radio, co stanowiło wielką atrakcję, szczególnie wieczorami i w niedzielę. Do przedszkola uczęszczało 40 dzieci pracowników pudliszkowskich. Dzieci miały różne gry, a ślusarz pobudował dla nich małą karuzelę, urządzano z nimi spacery po parku i ogrodzie. Początkowa „siła niefachowa" została zastąpiona przedszkolanką z praktyką, z której rodzice byli bardzo zadowoleni. Na drugie śniadanie dzieci dostawa-

ły w przedszkolu mleko lub kakao, czasem ciastka lub jabłuszka. Niestety, skończyła się idylla, gdy w 1939 roku wybuchła wojna. Wszystkie urządzenia socjalne zajęli Niemcy dla celów gospodarczych i wojennych.

Początkowo współpraca między panem Fenrychem a chłopami nie układała się, gdyż domagali się oni parcelacji gruntów. Fenrych uzasadnił swoją potrzebę rozwojem fabryki, ogrodnictwa i plantacji, co przekonało rząd o nierozdzielaniu gruntów tak bardzo korzystnie wygospodarowanych dla potrzeb gospodarki społecznej. Z czasem jednak stosunki stały się zupełnie poprawne. Wszyscy polubili i cenili Fenrycha. Natomiast współpraca z obywatelami Krobi była wprost przyjacielska. W roku 1922 odbył się „czarny strajk" pracowników rolnych. Pracownicy w majątku odpasali tylko inwentarz żywy. A były to akurat żniwa w polu. Mieszkańcy Krobi spontanicznie stawili się do dyspozycji Fenrycha. Pracowali panowie i panie oraz młodzież i dzieci. I obywatele krobscy ukończyli żniwa. Plony zostały uratowane.

Hodowla koni w Pudliszkach była nieduża, ale wystarczała na potrzeby własne całego klucza. Na okólnikach łąkowych stada źrebaków przez dwa lata rosły aż zabrano je do zaprzęgu. W całej Polsce zasłynęła natomiast hodowla kur. Pierwszą fermę białych leghornów założono już w roku 1927. Zostały pobudowane cztery kurniki, każdy na 250-300 niosek na obszarze 10 ha położonych na łące graniczącej w parkiem. Nadto zostały pobudowane specjalne pomieszczenia z centralnym ogrzewaniem dla wychowu piskląt. Z Monachium został sprowadzony specjalny zegar, który z budynku dla piskląt włączał automatycznie elektryczne oświetlenie dla nich i innych kurników. Kurom w ten sposób przedłużało się dzień żywienia w zimie do 12 godzin na dobę. Aparat wylęgowy na 6 000 sztuk jaj został sprowadzony z Potterdorf pod Wiedniem. Drugi aparat wylęgowy wykonano już we własnym zakresie. Przyjmowano też jajka do wylęgu z gospodarstw obcych. Około 5 000 sztuk piskląt Pudliszki sprzedawały. W jesieni gospodarstwa chłopskie kupowały 25-30 kogutów rasowych. Chłopi na kupno tychże dostawali subwencje ze strony Wielkopolskiej Izby Rolniczej i ze Starostwa Powiatowego.

Całą hodowlą kur zajmowała się Teresa Fenrychowa, dążąc do posiadania około 1200 niosek. Na to trzeba było przygotować corocznie około 3000 piskląt. Około 50% było kogucików i przy selekcji uwzględniając standard rasy, też pewien procent odpadł. Podstawą hodowli były dwa stada „Elita" po 15-18 sztuk, z kogutami sprowadzonymi z zagranicy ze znanych hodowli niemieckich. Kogutów oczywiście nie sprowadzało się co roku, drogą hodowlaną można już było z własnej hodowli kojarzyć koguty z kurkami o wybitnej nośności. Kury ze stada „Elita" miały przeciętną nośność od 256 do 264 sztuk Wszystkie kury ze stada „Elita" miały swoje linie genealogiczne. W stadzie ogólnym znalazła się rekordzistka (323 jaja), a to nie był sporadyczny przypadek. Z biegiem lat, dzięki wielkiej sumienności w pracy ho-

dowlanej, nośność się bardzo wyrównywała. Ze stadka 400 sztuk, które przechodziło do hodowli jeszcze na drugi rok życia, było 12 kur i ponad 300 jaj. Zasadniczo trzymano kury tylko w czasie niesienia jaj.

Z początku sprzedaż jaj liczyła się na „mendle", czyli 15 sztuk = 1 mendel, bez względu na wielkości jaj. Korzystniejsze było wprowadzenie masowej sprzedaży *en masse*, to jest skupu na wagę w cenie za kg. Kury były znakowane, a pozwalało to na kontrolę ich nośności. Na wystawach w Poznaniu i Toruniu ferma pudliszkowska uzyskała nagrodę w formie srebrnego i złotego medalu. Kury po żniwach wywożono w kurnikach na czterech kółkach na pola, aby wysypane ziarno zostało wyzbierane przez stada kur.

Zbliżał się rok 1939. Mało kto wierzył w wybuch wojny. Stanisław Fenrych, kierując się przezornością, wysłał do magazynów w Lublinie wartościowe książki, dywany, kilimy. Pozostawiono jedynie około 400 sztuk książek beletrystycznych, które Niemcy spalili. Dwa tygodnie przed wojną Teresa Fenrychowa złamała nogę. Została wysłana do szpitala w Lesznie. W dniu mobilizacji garnizonu leszczyńskiego Stanisław Fenrych zabrał swą żonę do domu, a następnie do Lublina, gdzie przy magazynie było mieszkanie. Tam z opiekunką ulokowano chorą radczynię. Tak przeżyła dni klęski 17-18 września 1939 roku. Fenrychowie otrzymali w swoim pałacu pokoik na poddaszu, gdzie po powrocie z ucieczki mieszkali i pracowali jako najemni pracownicy za wynagrodzeniem. 21 października 1939 roku przeżyli straszną trwogę, bo wszystkich polskich właścicieli ziemskich Niemcy zaaresztowali, a w Krobi na Rynku rozstrzelali 15 osób spośród 30 zatrzymanych[8]. Potem zdawało się, że Niemcy będą Polaków traktować łagodniej. Jak grom z jasnego nieba spadła na mieszkańców wiadomość o wysiedleniu Polaków z Gostynia i okolicy[9]. Polacy zostali poufnie powiadomieni przez woźnego wójtostwa z Krobi, dlatego po cichu trwały gorączkowe przygotowania do ewakuacji.

13 grudnia 1939 roku o godzinie 9.00 przyszli volksdeutsche – robotnicy majątku Pudliszki, aby swego dobrodzieja wywłaszczyć. Było wtedy 16 stopni mrozu. Na odkrytych wozach wywieziono właścicieli Pudliszek do Gostynia na Świętą Górę. 16 grudnia 1939 roku zgromadzonych z całej okolicy wysiedleńców Niemcy załadowali do pociągu, a tłumy Polaków z płaczem żegnało nieszczęśliwe ofiary terroru niemieckiego. Po dwóch i pół dniach drogi wysiedleńcy zostali wyładowani w województwie krakowskim. Żandarm niemiecki zameldował burmistrzowi na dworcu, że przywiózł 959 osób. Niemcy ulokowali wszystkich w szkołach na barłogu. Stanisław Fen-

[8]\ Opis – relacja szczegółowa świadków egzekucji w rękopisie rodzinnej kroniki Władysława Mendyki, *Księga V*: *Księga Pamiątkowa Rodziny Sylwestra i Michaliny Ziemlińskich z Krobi 1867-1997 r.*

[9] Rodzina Benigny (z Ziemlińskich) i Jana Andrzejewskich z Żychlewa została wysiedlona do Bölzke w Brandenburgii, a ich gospodarstwo zajęte przez Niemca.

rych zamieszkał w Tarnowie, gdzie otrzymał zarząd „Kopyciarni". W tej wytwórni kopyt zatrudnił wszystkich wysiedleńców z powiatu gostyńskiego.

Po wyzwoleniu w 1945 roku Fenrychowie wrócili do Leszna, gdzie Fenrych pracował w „Rolniku". Jego zdrowie podupadało, dostawał często krwotoku żołądka, przestał pracować. Śmierć Stanisława Fenrycha nastąpiła 27 października 1955 roku w Lesznie. W pogrzebie wzięły udział tłumy mieszkańców Krobi i okolicy oraz całe Pudliszki. Ogólny żal pozostał po tym wielkim człowieku, który zbudował wielki przemysł w Pudliszkach.

Opowieść o rodzie Mendyków i Piotrowiaków w Kuczynce

Ksiądz Dudziak, rodem z Ziemlina, był administratorem parafii Skoraszewice w powiecie gostyńskim. Zebrał pewne materiały z przeszłości różnych miejscowości. Dopiero po wyjeździe do Francji w 1972 roku, na prośbę moich sióstr nadesłał w kilku listach notatki historyczne. Pisze więc, że wieś Kuczynka nie jest chyba starsza nad dwieście lat, natomiast o kilkaset lat starsza była instytucja kmiectwa, z którego pochodziło później nasze gospodarstwo w Kuczynce, należące do Filipa Piotrowiaka, a następnie do Franciszka Mendyki (mego ojca) i obecnie do Michała Błaszyka. Leżało ono pierwotnie nad strugą, która łukiem płynęła przez pola, aż do lasku, nad którym z tego boku od strony obecnej Kuczynki leżała wieś Jadamowo. Ta wieś – dzisiaj już nieistniejąca – leżała między Pudliszkami a Kuczyną. Zaczynała się od polnej figury, która stała i dziś jeszcze stoi przy rozwidleniu dróg z Kuczyny i Kuczynki do Pudliszek (około 1 km od Pudliszek).

Wieś była położona tuż przy lasku, ale niektóre zagrody rozrzucone po okolicznych polach, aż w stronę szosy Kuczynka-Kuczyna. Słowo „kucza" pochodzi z języka rosyjskiego – oznacza namiot, szopa, buda. Topografia tamtejszych terenów była dawniej inna. Zmieniła ją budowa kolei żelaznej, a głównie dworca w Krobi zbudowanego około roku 1885. Droga od strony Pudliszek przez Kuczynkę do folwarku w Kuczynce oraz do dworca Krobia stanowiła trakt zaniedbany, pełen wybojów, a w okresach roztopów trzęsawisko nie do przebycia. Dzięki majątkowi Pudliszki wybrukowano drogę od toru kolejowego do szosy. Dopiero po drugiej wojnie światowej pozostałą część drogi od toru kolejowego do Pudliszek utwardzono i pokryto asfaltem. Szosa Krobia-Rawicz została wytyczona i zbudowana przed pierwszą wojną światową.

Wieś Kuczynka w dzisiejszym układzie rozwinęła się właśnie z kmiectwa, na którym jest obecnie gospodarstwo po moich rodzicach. Był tam niegdyś kmieć Piotr, od którego pochodzi prawdopodobnie całe gniazdo rodowe Piotrowiaków. Sprawa jednak warta jest zbadania w księgach parafialnych krobskich. Nad zachrystią kościoła w Krobi była jeszcze w czasie wojny mocno zdewastowana biblioteka zawierająca archiwalne księgi parafialne. Po wojnie to archiwum zabrano do pałacu Lubrańskiego w Poznaniu,

które uchodzi za archiwum diecezjalne. Tam właśnie były zapiski lokacji wsi, powolnego obejmowania Krobi przez członka „Hakaty" – znanego już Kennemanna, właściciela całego Klucza wsi: Pudliszek – Karca – Ziemlina – Kuczyny – Kuczynki – Kokoszki.

Informacje przekazuję na podstawie opowiadań, gawęd i luźnych rozmów zapamiętanych przez księdza Dudziaka. Moi dziadkowie i rodzice osiedlili się w Ziemlinie. Byli to: dziadek, Jan Piotrowiak, a żona jego Kasia rodem z Sierakowa pod Rawiczem. Dziadek Jan często opowiadał o swoim gnieździe rodzinnym. To wielkie i zasobne kmiectwo w Kuczynce, położone przy drodze z Ziemlina do Krobi. Mówił nam zawsze o budynkach postawionych nad dużym stawem, który spływał polami aż w stronę boru. Wszystkie później pozostałe gospodarstwa kuczynkowskie, większe i mniejsze, zostały właśnie wydzielone z tego kmiectwa.

[…]

Pradziadek księdza Dudziaka – Jędrzej przyszedł z Kuczynki około roku 1820. Kuczynka oddalona jest od Grabianowa o około dwa kilometry. Na tej drodze znajduje się dworzec kolejowy, a więc około dwa kilometry oddalony od miasta Krobi. Plan budowy linii kolejowej Krotoszyn-Leszno przewidywał urządzenie dworca w mieście Krobia, na południowych peryferiach miasta, koło młyna parowego. Przedstawiciele budowy kolei przekonywali radców miasta o korzystnym położeniu dworca blisko miasta. Były głosy radców popierających plan, lecz silniejsza opozycja wysuwała kontrargumenty, że obywatele miasta nie będą mogli spokojnie spać. Za to właściciel Pudliszek i Kuczyny skorzystał z uporu krobskich radców i natychmiast na cel budowy torów kolei i dworca zaofiarował cały szlak ziemi. Wybudowano dworzec i budynki dla kolejarzy, skonstruowano rampy na załadunek towarów i dostawę bydła.

I w ten sposób znaczenia nabrały wioski położone bliżej torów i dworca: Grabianowo, Kuczynka i te majątki ziemskie, które korzystały z odstawy kolejowej buraków cukrowych, zboża i innych produktów rolnych. Także węgla. A obywatele krobscy mogli sobie spokojnie spać…, lecz tylko do czasu zbudowania kolejki powiatowej i małego dworca w Krobi. Szybki rozwój Kuczynka i Grabianowo zawdzięczają bliskości dworca Krobia. Nadto główny trakt – szosa bita od Gostynia przez Krobię do Rawicza dawała korzystne warunki dojazdowe do tych miast. Dawniej ten ważny trakt nie istniał, lecz wytyczyli go dopiero i wyprostowali Niemcy, którzy go też stale ulepszali.

Urzędowej lokacji wsi Kuczynka nie ma. Wieś ta została po prostu założona przez bogatego kmiecia, który władał większym obszarem roli uprawnej i lasów. Nad strugą, obok lasu, budowano domy chałupników lub zagrodników wsi Jadamowo. Blisko to było małej strugi ciągnącej się aż do Porąbki koło Pudliszek – Karca. Tam niziny i bagna, a zanieczyszczone wo-

dy były siedliskiem przeróżnych chorób. Właśnie zastój wód w tym lasku spowodował prawdopodobnie wybuch epidemii, która doprowadziła do wymarcia całej ludności wsi. Kiedy to było i czy to był pomór kilkakrotnie powracający, nie można z całą dokładnością ustalić. Z wiadomości starych ludzi słyszy się, że na pewno taka „cholera" w niektórych wsiach parafii Krobia panowała w 1852 roku. W tym właśnie roku wielkie misje w parafii krobskiej głosili ojcowie jezuici. Ojciec księdza Dudziaka (urodzony w 1865 roku w Pudliszkach) opowiadał że każdy, mając lat 15, służył u gospodarza Gronowskiego w Kuczynie. Wieś tę i sąsiednią Kuczynkę opanował taki pomór, że w jednym tylko tygodniu zmarło w samej Kuczynie jedenaście osób, a w najbliższej okolicy ponad 30 osób.

Niemcy w swoich majątkach dawali ciasne mieszkania jednoizbowe, a warunki w tych „kosiarach" były fatalne. Ale Niemiec dziedzic nie lubił, aby jego wyrobnicy w polu mieszkali. O wiele lepsze warunki mieszkaniowe mieli wolni gospodarze. Ślady wypędzania ludzi wolnych z siedzib polnych da się odnaleźć jeszcze na polach Ziemlina, gdzie powstały tak zwane „kieczki", czyli miejsca dawnych zagrodników. Ich los zależał od woli pana. Tylko kmiecie z dziada pradziada, którzy swoje kmiectwo (wolność od uprawiania pańszczyzny) umieli wykazać i obronić, choć byli przez panów dziedziców znienawidzeni, jednak coś dla nich znaczyli. Z robów czy wyrobników dziedzice nie robili sobie nic i faktycznie wykorzystywali ponad ich siły.

Spadkobiercami tych metod i nastawienia w stosunku do biedoty, w dodatku niebronionej przez nikogo ludności, byli dziedzice niemieccy, którzy łatwo, tanio, a często za darmo przejmowali całe wsie polskie po zbankrutowanej szlachcie polskiej. W taki oto sposób majętność Pudliszki i inne wsie należące do klucza – po zbankrutowanej rodzinie Morawskich – dostały się w ręce Niemiec. Prawdopodobnie ziemie po wymarłej wsi Jadamowo także. Tylko skrawki z tych ziem przejęli później gospodarze z Kuczynki lub Pudliszek. Niemcy po swojemu robili porządki. Brat księdza Dudziaka Michał opowiadał swoim o legendarnym przodku kmieciu Piotrze i o jego następcach Piotrowiakach, którzy należeli do tarczowników kasztelana krobskiego. Dlatego właśnie jako wolny osadnik miał swoją siedzibę w pobliżu grodu.

[…].

Nazwisko rodziny Mendyków w Kuczynce ze strony mojej matki Antoniny z domu Piotrowiak wywodzi się od mojego dziadka Bartłomieja Piotrowiaka. Był on ojcem mojej matki. Pochodził z kmieci żyjących tu od dawnych czasów Polski. Posiadał 25 ha roli, co stanowiło sto mórg magdeburskich. Był dziedzicem tej ziemi po swoich rodzicach, a do pracy w gospodarstwie posiadał dziesięć par wołów. Nimi orał, bronował i woził obornik na pola. Taki zestaw siły pociągowej wymagał odpowiednich obór, paszy, na-

rzędzi i wozów, a przede wszystkim kilku parobków, bo woły były przeważnie zaprzęgane po parze lub dwie pary. Był więc to taki mały folwark dobrze zorganizowany, aby wykorzystać siłę pociągową, ludzi najemnych i należycie zdążyć z uprawami polnymi i ze sprzętem plonów ziemi. Nie znalazłem żadnych bliższych danych o mojej prababce, to jest żonie Bartłomieja Piotrowiaka. Nic nam nie wiadomo o jej pochodzeniu, nie znamy nawet jej panieńskiego nazwiska. Można się jedynie domyślać, że była to córka bogatego kmiecia, gospodarna, znająca się na prowadzeniu gospodarstwa, hodowli inwentarza żywego, umiejąca wypiekać w domu chleb, placek, a nade wszystko gotować dla rodziny i służby.

Brak również wiadomości o dzieciach. Wiemy tylko to, że zubożały Bartłomiej dożył późnej starości. Zmarł 2 lutego 1871 roku w Kuczynie w wieku 85 lat, czyli urodził się w roku 1786. Biuro parafialne nie posiada ksiąg metrykalnych z tego okresu, gdyż Niemcy je zabrali w czasie okupacji. Natomiast zdołano ustalić, że żoną Bartłomieja była Franciszka z domu Puślednik i zmarła 29 lutego 1888 roku w Kuczynce, a jej rodzicami byli Józef Puślednik i jego żona Łucja. Ślub Bartłomieja Piotrowiaka z Franciszką Puślednik został zawarty 15 stycznia 1827 roku w Krobi. Bartłomiej był wtedy już wdowcem, a jego druga żona pochodziła z Żychlewa. Oboje swoje zubożałe gospodarstwo zapisali swojemu synowi Filipowi Piotrowiakowi, który urodził się 23 maja 1833 roku w Kuczynce. Filip do szkoły powszechnej chodził około sześć tygodni do Pudliszek. Dłużej nie mógł się uczyć, bo musiał iść na służbę, jako mały chłopiec pasł owce u gospodarza w Grabianowie. Nauczył się jednak pisania i czytania. Później douczył się sam. Jak pastuch często śpiewał przy owcach pieśni przygodne, różne piosenki ludowe, lecz szczególnie pieśni religijne, których nauczył się w domu przy rodzicach. Był to chłopiec dobry i sumienny, a za swój piękny śpiew był także wszędzie lubiany. Gdy dorósł, nauczył się biegle czytać oraz pisać. Czytywał sobie i innym gazety, książki, umiał na pamięć wiele opowiadań i historyjek zaczerpniętych z przeczytanych książek i gazet. Lubił się modlić z książki do nabożeństwa.

Filip Piotrowiak, otrzymawszy gospodarstwo po rodzicach, 13 października 1857 roku wziął ślub z Małgorzatą z domu Pakosz, rodem z Chwałkowa. Małgorzata urodziła się 8 lipca 1839 roku, a jej rodzicami byli Walenty Pakosz i jego żona Elżbieta z domu Woźna. Panna młoda miała 18 lat, a pan młody lat 24. Rodzice panny byli bogatymi gospodarzami, a ich zamożność dawała duży posag wnoszony w nowe stadło małżeńskie. Umiała ona czytać i pisać, bowiem chodziła do szkoły i ukończyła ją. Wiadomo, że w owych czasach nie było obowiązkowego posyłania dzieci do szkoły, kto chciał posyłał swoje dzieci do szkoły, a kto nie chciał, nie miał przymusu. Wielu jej rówieśników pozostawało w gospodarstwach jako pomoc przy pasaniu bydła lub opiekowało się młodszym rodzeństwem. Toteż wielu mło-

dych i starych ludzi było niepiśmiennych, ani nie umieli czytać. Babka Małgorzata umiała bardzo pięknie śpiewać

W domu cała jej rodzina dużo śpiewała, a w starości wraz z dziadkiem razem codziennie śpiewali na każdy okres stosowne pieśni świeckie i religijne. Dziadek i babcia dokupili od Hajduka z Kuczynki ziemię położoną przy torach kolei żelaznej. Było tego 3,5 morgi magdeburskiej. Kilka lat później znowu odkupili 10 mórg ziemi na polach pudliszkowskich. Filip Piotrowiak dożył 84 lat i zmarł 30 stycznia 1917 roku w Kuczynce, a pogrzeb odbył się 3 lutego 1917 roku. Jego żona Małgorzata dożyła 82 lat i zmarła 4 października 1921 roku, także w Kuczynce. Pamiętam śmierć i pogrzeb obojga moich dziadków. Dziadek bardzo pragnął doczekać się odzyskania wolności Polski…

Jeszcze kilka słów o rodzicach Małgorzaty Pakosz. Mieszkali we wsi Chwałkowo. Ojciec Walenty Pakosz, syn Jana i Rozalii, a jego żona Elżbieta z domu Woźna. Związek małżeński zawarli 8 listopada 1828 roku w Krobi. Walenty Pakosz zmarł 5 stycznia 1854 roku, a jego żona Elżbieta odeszła z tego świata 2 marca 1863 roku w Chwałkowie. Moja najstarsza siostra Wiktoria, po mężu Kordus, często wspominała dziadków. Mówiła o nich jako o bardzo spokojnych, dobrych i miłych staruszkach. Gdy doczekali się wnuków i wnuczki, codziennie długie wieczory wypełnione były śpiewaniem godzinek, pieśni kościelnych i przygodnych.

Otóż, ci nasi dziadkowie mieli kilkoro dzieci: Franciszka, zawsze nazywanego Frankiem, który ożenił się w Skoraszewicach (był on najstarszym, pierworodnym synem naszej matki, był jednocześnie najlepszym bratem, podczas pierwszej wojny światowej zginął bez wieści na froncie. jego koledzy opowiadali, że podczas ataku na bagnety zaginął w trzęsawiskach), Tomasza – wżenił się w gospodarstwo u Pakoszów w Kuczynce, Antoniego – ożenił się w Krobi, gdzie prowadził warsztat szewski (jego żona wcześnie zmarła, a wujek ożenił się po raz drugi), Barbarę – w młodym wieku wyszła za mąż, a gdy jej mąż zginął w wypadku, sama rozchorowała się ze zgryzoty i bezdzietnie także zmarła (jej matka, a nasza babcia, przez długie lata rozpaczała, bo Basia była przeznaczona na dziedziczkę gospodarstwa po rodzicach w Kuczynce. Moja matka była jeszcze wtedy małą dziewczynką i niewiele pamiętała, ale słyszała częste opowiadania swej matki rozpaczającej po córce Basi), Walentego – znanego nam jako wujek w Rogowie, gdzie wżenił się w gospodarstwo i miał sporą rodzinę (jego żona Balbina zmarła znacznie wcześniej, pozostało dużo dzieci, ale ich losu nie znamy), Józefa – ożenił się po sąsiedzku w gospodarstwie, z córką Ratajczaków w Kuczynce (już po śmierci Basi rodzice jej chcieli na swoim gospodarstwie osadzić syna Józefa, ale teściowie Ratajczakowie znali zięcia jako dobrego rolnika i zdolnego gospodarza, jednocześnie bardzo bogobojnego, więc chcieli go mieć na swoim gospodarstwie jako zięcia, Józef więc zamieszkał ze swoją żoną jako sąsiad

swych rodziców. Żona jego po kilku latach zmarła, a Józef, nie mogąc pozostawać w dużym gospodarstwie bez gospodyni, po raz drugi ożenił się z zamożną biskupianką rodem ze wsi Potarzyca), Wojciecha – w młodym wieku wyjechał do Niemiec na roboty, dostał dobrą pracę w Berlinie, dorobił się grosza, dlatego mógł ożenić się na gospodarstwie w Skoraszewicach, za zaoszczędzone pieniądze spłacił rodzeństwo swej żony. Druga wojna światowa pochłonęła go na froncie. Żona jego i dzieci nie doczekali się już powrotu męża i ojca) oraz Antoninę, moją matkę.

To drugie wesele wujka Józefa, prawdziwie biskupiańskie, a więc huczne, na koniach, doskonale pamiętam. Odbyło się 28 stycznia 1914 roku. Nowa gospodyni z wielkim znawstwem zajęła się gospodarstwem i dziećmi. Wujek Józef był codziennie w naszym domu. Szczególnie lubił i umiał dobrze doradzić w gospodarstwie, w żywieniu inwentarza, uczestniczył przy cieleniu krów, źrebieniu klaczy czy prosieniu macior. Ale najlepiej i jednocześnie najskuteczniej umiał poradzić w chorobach koni i krów. Był świetnym majstrem w naprawianiu narzędzi rolniczych. Razem z moim ojcem uzupełniali się. Wujek robił stolarkę lub roboty ciesielskie. Sam zbudował sobie wiatrak, który służył mu przez długie lata jako śrutownik paszy. Był on wyjątkowo wesołego usposobienia i umiał interesująco opowiadać o różnych zdarzeniach. Zmarł nagle, po krwotoku wewnętrznym, w wieku 81 lat (urodził się 10 lutego 1875 roku, zmarł 19 kwietnia 1956 roku).

Wujka-sąsiada znałem najlepiej ze wszystkich swoich krewnych. Codziennie przychodził do naszego domu, to pożyczyć coś, to porozmawiać, a wieczorami najdłużej przesiadywał w naszej rodzinie, a my wsłuchani w niego, bo opowiadał zawsze bardzo interesujące historie. Przy każdej kobyle – przy źrebieniu czy cieleniu się krowy musiał być znawca tych spraw – wujek Józef. On najlepiej wiedział, co i jak należy zrobić, aby porody odbyły się szczęśliwie. Znał wszystkie choroby zwierząt domowych i umiał dać właściwe lekarstwo koniowi, krowie lub świni. Miał też u siebie w domu prawdziwą aptekę weterynaryjną na wszelkie wypadki gospodarskie. Nikt we wsi nie odważył się przebić wzdętej krowy lub jałówki – zawsze posyłano po wujka Józefa, który rzucał nawet najpilniejszą robotę i spieszył z pomocą ratowania dobytku sąsiada. Kto chciał wiedzieć, jaka będzie jutro pogoda, nieomylnym prognostykiem był wujek Józef.

[…].

Wiosna w Kuczynce przychodziła, nie jak to wskazywał kalendarz, lecz według słońca i budzącej się przyrody. Pierwsze pąki drzew owocowych w sadach, na wierzbach i topoli wskazywały, że już zaczyna ożywiać się natura. Ledwo ustąpiły śniegi, a wody spłynęły do rowów i strumyków wyjeżdżano w pole badać czy ziemia sucha. Kto pierwszy stwierdził wystarczająco suche grunty, zwiastował wszystkim, że już można siać, bronować i przygotowywać pola pod siewy. Z każdego podwórza wyruszały wozy z pługami,

bronami, kultywatorami, włókami, aby dać polu to, co wymaga pod uprawę zbóż jarych i okopowych. Skowronki wzbijały się wysoko nad rolnikiem i wypatrywały dla siebie smakowity kąsek z żywej dżdżownicy, robaczka czy pędraka. Ziemia najpierw zaczęła karmić ptactwo polne, a potem rolnika i ludzi w mieście.

Całą wiosnę ożywiały się pola uprawne. Pracowite konie w zaprzęgu wyznaczały cały dzień skiba po skibie, po zbronowaniu wjeżdżano siewnikami i w proste rzędy wtykano ziarna do ziemi. Ledwo skończono siewy, już należało spieszyć się z okopowymi, a to ziemniaki sadzić, buraki i kapustę flancować. Dobrze, gdy sprzyjała pogoda i nie było suszy, cała robota szła według zwyczajowego planu. Plany bywały zwichnięte przy długotrwałych deszczach, bo wtedy stawała cała robota w polu. Spóźnione siewy odbijały się na jakości roboty i miały wpływ na plony. Zawsze jednak rolnicy nadążali z uprawą rolną.

Władysław Mendyka, autor wspomnień

Wróćmy jednak do mojej matki Antoniny Piotrowiak, która urodziła się w Kuczynce 25 maja 1878 roku. Ochrzczona została 2 czerwca w Krobi.

Wyszła za mąż 2 lutego 1898 roku i przeżyła 58 lat i 5 miesięcy. Zmarła 26 października 1936 roku. Ona, jedynaczka, została w domu na gospodarstwie i wzięła pod swą opiekę rodziców. Dziadek ostatnich kilka lat czuł się spracowany, wyczerpany wiekiem i pracą. Ostatnie lata swego życia przeważnie leżał w łóżku, ale latem wstawał, spacerował sobie o „kijoszku" po gospodarstwie, po sadzie i w pobliżu obejścia. Jego ręce zawsze musiały być czymś zajęte. Ostatnia zima 1917 roku przykuła go całkowicie do łoża. W godzinę przed śmiercią poprosił o kruszankę, to jest zupkę mleczną z kluseczkami, a gdy tylko spróbował, odłożył i kazał sobie zostawić na później. Potem prosił, aby go obrócono na bok twarzą do ściany, bo chciał spać. Po godzinie moja matka wróciła do dziadka, aby zapytać go, czy chciałby coś do jedzenia lub picia, lecz dziadek już nie żył, był zupełnie ciepły, niezmieniony jakby spał. Zmarł w wieku 85 lat. Babcia zmarła cztery lata później. Jednego dnia, siedząc na krześle, zesunęła się i upadła na ziemię. Zaniesiono ją do łóżka. Odzyskała przytomność. Poczuła się lepiej i chciała zaraz wstawać. Wkrótce znowu osłabła. Robiono przygotowania do przyjęcia księdza z ostatnimi namaszczeniami. Zapewniała, że jest jej coraz lepiej. Następnego dnia babcia zmarła. Było to 4 października 1921 roku w Kuczynce.

Trochę jeszcze trzeba napisać o drodze życiowej mojego ojca, Franciszka Mendyki. Jak już napisałem, był synem Filipa Mendyki i Elżbiety z domu Fórmanowska, rodem z Grabianowa. Urodził się 29 stycznia 1868 roku. Ukończył 7 klas szkoły powszechnej w Krobi. Na owe czasy poziom tej szkoły był znacznie wyższy niż szkółek wiejskich. Nadto w tym okresie był już obowiązek nauczania wszystkich dzieci w wieku od lat 7 do 14. Ojciec uchodził za wyjątkowo zdolnego ucznia, dlatego otrzymał wszystkie oceny celujące i bardzo dobre. Jednakże rodzice nie posłali syna do szkół, lecz oddali go na naukę rzemiosła do mistrza kowalskiego Moderskiego, który zatrudniał czeladników i szkolił uczniów. Moderski prowadził swój warsztat ślusarsko-kowalski w Krobi. Nauka trwała trzy lata. Uczeń po zdaniu egzaminu zostawał czeladnikiem ślusarsko-kowalskim. Szef Moderski chciał Franciszka zatrzymać dalej jako czeladnika, lecz ofiarował bardzo niskie wynagrodzenie. Ojciec wykorzystał swoje świadectwo i wyjechał w świat po szczęście w pracy, licząc na lepsze zarobki.

Rodzice dali synowi na drogę błogosławieństwo i tobołek z odzieżą oraz trochę żywności. Kolei wtedy nie było. Wyszedł więc piechotą z Kuczynki, kierując się w stronę Rawicza i dalej do Niemiec. Matka odprowadziła syna kilka kilometrów. Mając lat 17, szedł w nieznane, na dobre lub na poniewierkę. Nie wiedział, co go spotka, czy wróci jeszcze w swoje rodzinne strony, do rodziców i rodzeństwa. Z Rawicza, także pieszo, skierował się w stronę Berlina. Będąc kowalem, po drodze zatrzymywał się w kuźniach, aby zarobić coś pieniędzy na dalszą drogę, na żywność i noclegi. Po drodze żył z dorywczych zarobków. W niektórych miejscach zatrzymywał się dłużej,

czasem przez kilka dni lub tygodni. Jednak zawsze chciał iść dalej po lepsze warunki pracy i życia. Doszedł pieszo do miejscowości Königsberg, to jest do królestwa znajdującego się w rejonie Westfalii.

O tej wędrówce często nam ojciec wspominał, a myśmy płakali ze wzruszenia, jak tułał się jako wędrowiec, nieraz o głodzie, sypiając przeważnie w oborach lub w stodołach. Dłużej zatrzymał się dopiero w Saksonii, a następnie w cukrowni w Königsbergu. Poznano się na dobrej pracy młodego kowala, zatrzymywano go i podnoszono wynagrodzenie, a ojciec zdobywał uznanie i przyjaciół. Opowiadał, jak był lubiany przez dziewczęta, które robiły mu swetry, skarpetki i różne inne wyroby na drutach, a nawet zaopatrywały w bieliznę. W tych miejscowościach nie było ani księży, ani kościołów katolickich. Byli sami luteranie. Znajdował się więc nasz ojciec w otoczeniu ewangelików, protestantów, luteranów. Lecz co niedzielę jeździł, nieraz daleko, na nabożeństwa rzymsko-katolickie. Często pisywał listy do swojej matki. Do Königsbergu przyjechał także brat ojca Stanisław, także i on szukał pracy. Ojciec polecił go i odtąd razem pracowali. Później wyjechał do Berlina. Mieli jednak ze sobą stały kontakt listowny.

Stanisław był spokojnym i dobrym bratem, a przede wszystkim był wyjątkowo oszczędny. Obaj, będąc na obczyźnie, ufali sobie we wszystkich sprawach. Stanisław został zawezwany do służby wojskowej. Przed odjazdem do wojska przyjechał więc do swego brata Franka na pożegnanie. Wtedy zwierzył się ze swoich oszczędności. Powierzył mu duże zapasy bielizny, ubrania, obuwie i wiele cennych rzeczy. Także powierzył bratu książeczkę oszczędnościową na przechowanie. Jednocześnie zaznaczył, że w przypadku, gdyby nie wrócił, zginął lub umarł, wszystko pozostanie własnością mego ojca. Brat Stanisław nie wrócił z wojska, zmarł w czasie odbywania służby wojskowej. Ojciec nasz został właścicielem dużych oszczędności po bracie, lecz dużo z tego wysłał swej matce i rodzeństwu. Żal po bracie był wielki. W Königsbergu ojciec nasz nie pozostał dłużej. Po zdobyciu wielu doświadczeń, praktyki, mając pieniądze, duży zasób bielizny i odzieży udał się do centrum zagłębia – Westfalii. Tam szybko znalazł dobrze płatną pracę w fabryce, a następnie w kopalni jako kowal.

Z Westfalii wybrał się, ale już koleją, do rodziców. Zarobione pieniądze ulokował w banku w Poznaniu z myślą, że po usamodzielnieniu się, będzie w stanie założyć własne gniazdo rodzinne. Szukał więc żony w swoich stronach rodzinnych. Miał zamiar tutaj ożenić się i już z żoną wyjechać do Westfalii, gdzie miał dobre zarobki. Za radą i zgodą rodziców poznał bliżej jedynaczkę, Antoninę Piotrowiak z Kuczynki. Była to panna bardzo religijna, stateczna i miła, o 10 lat młodsza od ojca. Ojciec miał wtedy 30 lat, a ona 20 lat, gdy 2 lutego 1898 roku zawarli związek małżeński. Ślub odbył się w kościele parafialnym w Krobi. Młodzi małżonkowie poznali się przed trzema laty. Pisywali do siebie i wyznawali miłość, którą ślubem przypieczę-

towali na całe życie. Po ślubie ojciec pozostał jakiś czas na urlopie, a następnie znowu wyjechał koleją do Westfalii dalej zarabiać.

Po ślubie częściej już przyjeżdżał do żony, przywożąc jej cenne prezenty w postaci bielizny i oszczędności. Gospodarstwo Piotrowiaków miało być oddane Józefowi, lecz gdy rodzice poznali się na zięciu po śmierci Basi, zmienili swoje postanowienie, nie chcąc, aby ich jedyna córka Antosia odjechała daleko od domu. Chcieli córkę mieć przy sobie, gdyż była ona najbardziej przywiązana do swoich rodziców. Po ślubie ojciec nasz jeszcze przez kilka lat pracował w Westfalii. Gdy więc zapadła jego decyzja zabrania żony do siebie na obczyznę, teściowie błagali swego zięcia, aby przejął gospodarstwo i pozostał z żoną razem z nimi. Ojciec niechętnie przystał na taką propozycję, bo nie znał się dobrze na prowadzeniu gospodarstwa rolnego, za to od dziadka poznał doskonale fach ślusarza-kowala. Po długich namowach zgodził się porzucić dobrze płatną pracę w Westfalii i wrócił na stałe do Kuczynki, żeby odziedziczyć gospodarstwo rolne, żeby pozostać przy żonie i teściach.

Początkowo miał duże trudności przy uprawie roli i opasie inwentarza. Dziadek i babcia wspólnie pracowali z młodymi, doradzali im, czyli i tak ojciec został wzorowym rolnikiem. Po kilku latach samodzielnego już gospodarowania ojciec zdołał spłacić wszystkich szwagrów, dając im należne posagi. W następnych latach z dorobku własnych rąk kupowali ziemię od gospodarzy podupadłych. Wybudowali najpierw dużą nową stodołę krytą dachówką. Natomiast stara stodoła, pamiętająca przodków sprzed stu laty, była niska, całkowicie zbudowana z drzewa i pokryta słomą.

Rodziców moich spotykały też ciosy ponad ludzkie siły. Pewnej zimy, mogło to być około 1920 roku, zostawili po uboju 200 kg tucznika. Złodzieje wyłamali szczytowe okno i po dachu przybudówki weszli na poddasze, gdzie w wędzarni był prawie cały ubity tucznik. Zabrali słoninę, szynki, kiełbasy i mięso, a nadto wysokie buty i kożuch ojca, kilka pierzyn i poduszek przygotowanych dla dziewcząt na wyprawę. Kilka lat później było włamanie nocą do starej stodoły, w której była duża ilość świeżo namłóconej pszenicy. Wszystko ziarno zgromadzone z młócenia przez trzy dni było w workach przygotowane do wywiezienia na sprzedaż. W jedną noc złodzieje zdołali wykraść. Nikogo nie znaleziono, bo spadł nad ranem śnieg i śladów nie można było wytropić. Dla naszych rodziców były to bardzo duże straty.

Długi czekały na uregulowanie: podatki, szkoły, internaty, narzędzia rolnicze. Było to około roku 1929. Kilka lat później sąsiad Toporowicz w karczmie po pijanemu przechwalał się, że pije za pszenicę Franka Mendyki. W niedługim też czasie swoje najlepsze i największe gospodarstwo przepił i zbankrutował. Jego ziemia i budynki zostały wystawione na licytację (subhasta), w której mój ojciec i Pazoła kupili po 12 mórg magdeburskich (3 ha) ziemi koło drogomistrza w Krobi. Ziemia ta została zdrenowana, co

znacznie zwiększyło urodzaje, bo od dawna często na wiosnę długo nie można było wyjechać na pole z powodu zalania. Teraz dreny (rurki) odbierały nadmiar wody podskórnej i odprowadzały ją do rowu przydrożnego. Tego rodzaju melioracja gruntów szybko przekonała rolników do założenia Spółki Melioracyjnej, która mogła wielkie połacie gruntów uprawnych objąć w plan działalności. Grunty po ich zdrenowaniu dawały większe plony i były łatwiejsze w uprawie. Również grunty moich rodziców położone na terenach Pudliszek zostały zdrenowane. Kółko Rolnicze i w gazetach wypowiadający się fachowcy zachęcali rolników do coraz nowocześniejszej uprawy zbóż i roślin okopowych oraz pasz zielonych i sprzętu siana.

Należy kilka zdań poświęcić rodzeństwu i rodzinie ze strony naszego ojca Franciszka Mendyki. Pradziadkowie nasi ze strony ojca żyli w Grabianowie koło Krobi. Posiadali gospodarstwo około 40 mórg ziemi, to jest 10 hektarów, a do tego odpowiednie budynki gospodarcze oraz inwentarz żywy. Gospodarstwo to odziedziczyła nasza babka ze strony ojca, Elżbieta, z domu Fórmanowska, urodzona 13 listopada 1832 roku w Grabianowie. Jej rodzice to Idzi Fórmanowski, urodzony 27 sierpnia 1804 roku w Sułkowicach oraz jego żona Barbara Fórmanowska z domu Andrzejewska, urodzona 27 listopada 1813 roku w Grabianowie. Ślub Idziego Fórmanowskiego z Barbarą Andrzejewską odbył się 8 października 1831 roku w Krobi. Idzi Fórmanowski zmarł 13 listopada 1893 roku. Rodzice mojego ojca Franciszka Mendyki to również rolnicy z Grabianowa, a więc: Filip Mendyka rodem z Domachowa, urodzony w 1833 roku. 17 listopada 1857 roku (miał wtedy 25 lat) ożenił się z Elżbietą Fórmanowską, lat 25, rodem z Grabianowa. Filip Mendyka zmarł 30 grudnia 1912 roku, przeżywszy 80 lat, a jego żona Elżbieta zmarła 4 września 1910 roku, przeżywszy 78 lat.

Mieli oni liczną rodzinę. A oto ich dzieci: Rozalia – najstarsza siostra naszego ojca Franciszka (pozostała w Grabianowie i odziedziczyła gospodarstwo po rodzicach, wyszła za mąż za rolnika rodem z Sikorzyna – Michała Sikorę), Józef – ożenił się w Krobi (miał własny domek i pół hektara ziemi, poza tym chodził do roboty i dorabiał na życie), Marianna – wyszła za mąż za Rosika w Sułkowicach (posiadali domek mieszkalny oraz małe budynki gospodarcze i 5 mórg magdeburskich – 1,25 ha ziemi uprawnej, mieli oni kilkoro dzieci. Przeżyła 80 lat), Franciszek – to właśnie ojciec, wyuczony rzemiosła ślusarstwa i kowalstwa (udał się w świat na zarobek, przez wiele lat pracował w Westfalii w Niemczach jako kowal i podkuwacz koni w kopalni, ożenił się z jedyną córką Filipa Piotrowiaka w Kuczynce, gdzie ze swą żoną Antoniną gospodarowali i wychowali dziesięcioro dzieci: siedem córek i trzech synów), Jadwiga – wyszła za Józefa Wawrzyńca Kaczmarka (z braku pracy oboje pojechali do Westfalii, tam przeżyli długie lata, doczekali się nawet złotego jubileuszu pożycia małżeńskiego, zmarli oboje w roku 1900),

Stanisław – podczas służby wojskowej rozchorował się na czerwonkę i zmarł.

Najstarsza siostra mojego ojca, Rozalia, dostała gospodarstwo po swoich rodzicach. Wyszła za mąż za Michała Sikorę z Sikorzyna. Mieli oni liczną rodzinę. Dzieci ich to: Idzi – najstarszy syn (pojechał do Westfalii na roboty, dwa razy się ożenił. Po powrocie z Westfalii do Polski osiedlił się koło Kępna w Szklarce Mielęckiej, tam miał gospodarstwo rolne i tam też zmarł), Joanna – wyszła za mąż w Żychlewie za Langiewicza i gospodarowała na pięciu morgach, Katarzyna – otrzymała gospodarstwo po swych rodzicach w Grabianowie (zawsze nazywaliśmy ją ciocia Kasia. Wyszła ona za mąż za Franka Andrzejewskiego, który na wojnie 1914-1918 stracił rękę. Po wojnie gospodarzył w Grabianowie razem ze swoją rodziną. Mimo kalectwa dawał sobie radę przy orce i w pracy domowej. Zawsze w niedziele i święta oboje ubierali się w stroje biskupiańskie. Często odwiedzaliśmy się, bo mój ojciec był rodem z tego gospodarstwa w Grabianowie), Anna – w wieku lat 25 zmarła jako panna, Józef – ożenił się w Teodozewie (później przeniósł do wsi Drzewce), Stanisław – ożenił się we wsi Kawcze, gdzie też miał gospodarstwo rolne, Jan – ożenił się w Brzeziu, był rolnikiem, Tomasz – długo kawaler i zmarł, mając lat 45 jako bezżenny i bezpotomnie. Były jeszcze dwie córeczki Magdalena i Marcjanna, które zmarły w wieku 1-2 lat.

[…].

Kolej żelazna w okolicach Krobi nie była znana do 1890 roku. Tory kolejowe Niemcy zbudowali z Berlina i Wrocławia aż do Leszna. Dopiero w 1890 roku Niemcy przystąpili do połączenia kolejowego do Ostrowa Wielkopolskiego. Toteż wcześniejsze pomiary i wytyczanie trasy na budowę kolei żelaznej biegło przez miejscowości: Leszno – Pawłowice – Dzięczyna – Poniec – Karzec – Krobia – Włostowo – Pępowo – Czeluścin – Kobylin – Kuklinów – Łąkociny – Dzierżanów – Krotoszyn, aż do Ostrowa. Zbudowano tory jednoliniowe, a pociągi mijały się na głównych stacjach: Poniec-Krobia-Kobylin-Krotoszyn. Wybudowanie kolei żelaznej szybko docenili szczególnie właściciele majątków ziemskich. Oni też głównie sprowadzali ze Śląska węgiel, materiały budowlane i wszelkie artykuły rolnicze. Natomiast wysyłali wagonami płody rolne, trzodę, bydło, siano i słomę dla wojska.

Od tego czasu rozwijała się gospodarka i bogactwo właścicieli ziemskich w okolicy Krobi i na całej trasie kolei żelaznej w Wielkopolsce. Droga przez wieś Kuczynka była miękka, toteż w porze wiosennej i jesiennej oraz w czasie roztopów była rozjechana i woda zalewała wyboje i głębokie koleiny. Majątek Pudliszki często korzystał z drogi przez wieś Kuczynkę. Wozy zaprzężone w cztery konie sapały z nadmiaru ciężarów i trudnej drogi. Wysokie koła grzęzły w błocie. Mieszkańcy Kuczynki zwrócili się do Majątku Pudliszki, aby wybrukowali drogę przez wieś, ofiarując pomoc. Wieś dała wtedy robociznę, a właściciel kamienie. Drogę od toru kolejowego przez całą

wieś aż do głównej drogi bitej na trasie Rawicz-Krobia-Gostyń. Pozostała część drogi od majątku Pudliszki, aż do torów kolejowych w Kuczynce, była miękka, niebrukowana, pełna dołów.

[…].

Za czasów moich kontaktów z Kuczynką obowiązki sołtysów pełnili kolejno: Ratajczak (teść Józefa Piotrowiaka), Ignacy Pazoła, Marcin Toporowicz, Tomasz Michalak, Franciszek Borowski, Józef Grześkowiak, Antoni Grześkowiak.

[…].

W okresie międzywojennym Krobia stała się miastem wybitnie rolniczym. Największa piekarnia była prowadzona przez mistrza piekarskiego Sylwestra Ziemlińskiego. Pieczono tu chleb żytni, pszenny, placki, bułki, makowce. Codziennie dwie pary koni rozwoziły chleb do majątków, do ludności wiejskiej w obrębie wielu kilometrów poza Krobią. Zaprowadzony został system wymiany zboża lub mąki na chleb. Majątki, chłopi oraz ludność ognaryjna[10] z majątków dostarczała do piekarni mąkę lub żyto wprost do młyna parowego. Na podstawie kwitu dostawcy otrzymywali książeczki na dostawę chleba. Każda dostawa chleba była wpisywana do książeczki klienta oraz jednocześnie do książeczki piekarni. Przy obliczeniu porównywano i uzgadniano wzajemne obrachunki. Był to obrót towarowy, bezgotówkowy, z zadowoleniem i korzyścią dla obu stron. Często bywało, że biedni chłopi, robotnicy folwarczni brali chleb na kredyt.

Piekarnia Ziemlińskiego dowoziła chleb za darmo, a jedynym dowodem była książeczka chlebowa. Nawet bezrobotni korzystali z pewnego kredytu chlebowego, bowiem zapewniali: „jak będę miał, to oddam”. Najgorzej było w okresie kryzysu rolnego, gdy strajk rolny w latach 1929-1933 ogarniał całe majątki. Nastało ogólne zubożenie wsi. Zboża nikt nie chciał kupować. Obszarnicy wstrzymywali wypłaty wynagrodzeń dla robotników, a ci po prostu zastrajkowali w okresie najpilniejszych prac w polu, to jest w okresie żniwowania. Strajki wiele nie dały robotnikom, bo zubożała wieś i małorolni też z braku chleba łamali strajki i poszli do obszarników za dobrym wyżywieniem i zapłatą w naturze. W tych czasach wiele gospodarstw zadłużonych podupadło i poszło na licytację. Jednocześnie rozwinęły się gałęzie gospodarcze związane z rolnictwem, jak na przykład mleczarnia i nowa zbudowana rakarnia przy ulicy Ponieckiej w Krobi.

[…].

[10] Ognaria – miejsce, gdzie starzy gospodarze po przepisaniu gospodarstwa na młodych zapisywali sobie prawo do przeżycia jesieni życia – wycug https://tinyurl.com/cy58s78u [Dostęp: 16 lipca 2023 roku].

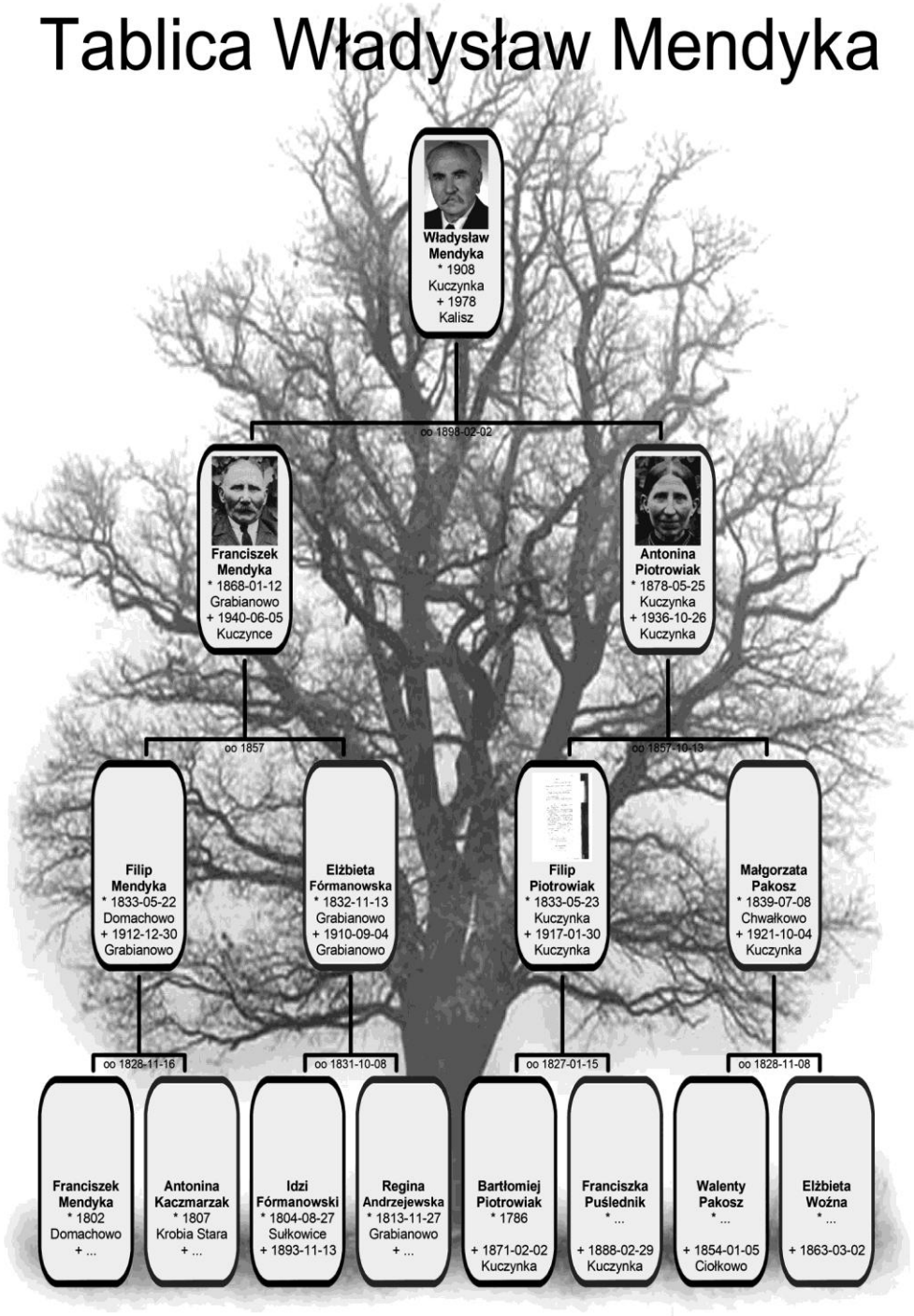

Drzewo genealogiczne rodziny Mendyków

Drogomistrz w Krobi

W czasie mego dzieciństwa, w latach 1910-1920, w domu rodzinnym w Kuczynie często były prowadzone rozmowy na temat wegemeistra [mistrza] Weissa, który mieszkał w urzędowym budynku przy naszych gruntach krobskich. Były one położone w połowie drogi z Krobi do dworca kolejowego. Rodzina Weissa trzymała stada drobiu: kur, gęsi, indyków i kaczek. Skoro nikogo z nas nie było w polu, Weissowie otwierali bramy podwórka i wypuszczali swój inwentarz na okoliczne pola uprawne. Zgłodniałe to ptactwo rozchodziło się najczęściej na nasze pola. Wokół domostwa Weissa zboża, koniczyna, seradela były wyjedzone i zdeptane. Największe szkody były w okresie siewów zbóż oraz tuż przed żniwami. Interwencje mego ojca były zbywane kpinami, Weiss radził nam pilnować swego pola. Samego wegemeistra przeważnie nie było w domu, a jego żona i dzieci bezczelnie śmiały się z naszych upomnień. Skargi do urzędów niemieckich nie pomagały.

Ten stan zmienił się dopiero po jego odejściu w 1920 roku do Niemiec. Na jego miejsce przyszedł Polak – repatriant. Był to Józef Szpurka, nasz dobry sąsiad. Urodził się 8 października 1883 roku we wsi Oporówko koło Leszna. W szóstym roku swego życia wraz z rodzicami wywędrował do Wydaw, gdzie jego ojciec objął stanowisko podwórzowego włodarza w tamtejszym majątku ziemskim. Do szkoły powszechnej uczęszczał w Poniecu, a po jej ukończeniu (to jest siódmej klasy niemieckiej) pracował w rozmaitych przedsiębiorstwach. Służbę wojskową odbył w latach 1903-1905, a po jej ukończeniu do 1907 roku pracował w Berlinie przy budowie kolei podziemnej. 1 kwietnia 1907 roku objął stanowisko woźnego i egzekutora przy komisariacie w Poniecu. Na tym stanowisku utrzymał się aż do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Zaraz po wybuchu wojny światowej w 1914 roku został zaciągnięty na wojnę, z której dopiero w 1918 roku powrócił. Był na przemian na froncie wschodnim i zachodnim. Po szczęśliwym powrocie zapragnął lepiej zarabiać i zgłosił się do Zarządu Drogowego na stanowisko drogomistrza. Został najpierw przyjęty na sześciomiesięczny kurs, po ukończeniu tego przeszkolenia otrzymał stanowisko kierownika piątego obwodu drogomistrzowskiego z siedzibą w Poniecu. Dalsze cztery obwody były jeszcze obsadzone przez Niemców. W Gostyniu urzędował Niemiec Pieper, w Boszkowie był Ufor, w Pępowie Lange, a w Krobi Weiss, który poprzednio miał polskie nazwisko Wojciechowski. W powiecie gostyńskim był więc pierwszym Polakiem na placówce drogomistrza (wegemeistra). Po pewnym czasie Niemcy wyprowadzali się do Niemiec, a ich miejsca zajmowali Polacy.

[…].

Józef Szpurka zrobił wniosek o przesiedlenie do Krobi na obwód czwarty. Ówczesny pierwszy polski starosta Wincenty Dabiński zgodził się bez żadnych sprzeciwów i już 1 marca 1920 roku Józef wraz z rodziną prze-

prowadził się. Placówka drogomistrza w Krobi należała do najpiękniejszych w województwie poznańskim. Wybudowali ją Niemcy jeszcze przed pierwszą wojną światową. Obejmowała: dom mieszkalny (willa piętrowa) oraz budynek gospodarczy, ogród owocowy, warzywny i około 600 m kwadratowych pola uprawnego. Drogomistrzówka była usytuowana przy szosie na trasie Poznań-Gostyń-Krobia-Rawicz-Wrocław. Zabudowania stały bez sąsiedztwa pomiędzy miastem Krobia a dworcem PKP. Dopiero krótko przed drugą wojną światową miasto wyznaczyło w planie zabudowanie tej wolnej przestrzeni.

Józef Szpurka wraz z żoną i czworgiem dzieci nie miał w Krobi ani w okolicy znajomych czy przyjaciół. We wspomnieniach – na moje życzenie – tak napisał: „Po kilku dniach pobytu na placówce drogomistrza, pierwszy, który mi życzliwą rękę podał, był Franciszek Mendyka, rolnik sąsiadujący swoją ziemią z domem, w którym mieszkaliśmy. Byliśmy obaj bardzo zadowoleni. Państwo Franciszek i Antonina Mendykowie mieli także kilkoro małych dzieci. Wkrótce po zapoznaniu się nastąpiła między nami przyjaźń. Widywaliśmy się prawie codziennie z jego kasztankami na polu. Często w polu pracowały dzieci, małe bawiły się, a większe już pomagały.

[…].

Wracając do roku 1920, informuję, że pierwszym przełożonym Józefa Szpurki był starosta powiatu gostyńskiego [Wincenty] Dabiński, a kierownikiem Zarządu Drogowego był Peisert. Na drogach było wtedy bardzo dużo pracy, ponieważ w czasie pierwszej wojny światowej drogi były zaniedbane. Przez kilka następnych lat wszystkie drogi w okolicy Krobi były nieumocnione, a mosty z dylami drewnianymi. Przy drogach stały przeważnie stare drzewa, które należały wyłącznie do poszczególnych właścicieli i tak było mniej więcej do roku 1925. Stopniowo przystąpiono do karczowania starych drzew, a na ich miejsce sadzono młode, które były już własnością państwa. Prace przy odnowie nawierzchni drogowej postępowały bardzo wolno, ponieważ brakowało wówczas sprzętu drogowego i maszyn.

Każdy metr kubiczny żwiru, kamienia był przywożony wyłącznie furmankami zaprzężonymi końmi. Kamienie były ręcznie młotkami tłuczone przy drogach. Robotnicy posługiwali się ciężkimi młotami do rozbijania dużych kamieni, a małe młotki służyły do rozbijania kamieni na kostkę potrzebną do budowy nawierzchni. Przygotowania materiału do budowy jednego kilometra drogi trwały cały rok. Drogomistrz nadzorował dniówki i prace akordowe. Wkrótce pokazały się walce parowe do ugniatania nawierzchni z kamieni. Technika robiła duże postępy, bowiem już po roku 1927 sprowadzono walce motorowe oraz maszyny do zrywania starej nawierzchni. To znacznie przyspieszało tempo budowy nowych nawierzchni. Równocześnie malały koszty robocizny. Równie szybko ruszyła budowa nowych mostów. Zaprzestano budowy mostów drewnianych, a rozpoczęto budowanie żelbeto-

nowych. Taki system trwał do roku 1930. Potem na drogach zaczęły pokazywać się ciągniki z przyczepami. W ten sposób malała liczba zatrudnionych robotników.

Od roku 1936 dużo mówiło się o nadchodzącej i nieuniknionej wojnie z Niemcami. W latach 1937-1938 robiono już niektóre przygotowania do tego, co ma nastąpić. Nastawiono się na obronę mostów. Przy ważniejszych mostach wkopywano rury cementowe, do których w roku 1939 wkładano materiały wybuchowe. Fala nastrojów wojennych rosła. W sierpniu 1939 roku wszyscy drogomistrze zostali zwołani do starostwa w Gostyniu, gdzie oświadczono zebranym, że wojna w każdej chwili wybuchnie i jednocześnie wydano zarządzenie wypłacenia drogomistrzom trzymiesięcznych poborów z góry i kazano jechać do domów.

Drogomistrz Józef Szpurek opisał te groźne czasy w sposób następujący: „Po powrocie z Gostynia do domu zauważyłem, że od strony Rawicza jechała szosą niezliczona ilość furmanek. Byli to gospodarze – rolnicy, którzy spakowali co najważniejsze na wozy i uciekali, sami nie wiedząc dokąd. Na drogach był zamęt okropny. W samej Krobi było jeszcze spokojnie. Lecz już następnego dnia także powstała panika i wszyscy rzucili się do ucieczki. Krobscy obywatele uciekali drogami w stronę Borku. Na dworcu PKP w Krobi podstawiono wagony, do których kolejarze ładowali swój dobytek. Innym ludziom nie pozwolono się załadować z braku miejsca. Z początku wielu, którzy nie mieli własnych wozów i koni, zdecydowało się nie uciekać. Jednakże paniczny strach przed Niemcami zrobił swoje. Ulegając prośbie rodziny, postarałem się o furmankę i konie. Użyczył nam tego rolnik Wojciech Kierończyk z Wymysłowa.

Zapakowaliśmy tylko najważniejsze rzeczy i żywność, przy wozie uwiązaliśmy dwie krowy, a do przyczepionego z tyłu wozu powsadzaliśmy drób. Natomiast trzy wieprze odwiozłem na targowisko krobskie, gdzie już znajdowały się setki podobnego inwentarza żywego. I tak za innymi ruszyliśmy w stronę Borku, pozostawiając resztę naszego dobytku na pastwę losu… Droga, którą jechaliśmy, była zatarasowana i trudno było przyspieszyć lub wycofać się. Wozy, furmanki i ludzie z wózkami, z tobołkami na rowerach byli zbici w wielki tłum rozpaczliwie starający się uciec przed Niemcami. Po drodze widzieliśmy pierwsze znaki wojny, a mianowicie: huki, wybuchy wysadzonych mostów drogowych, z daleka widoczne były łuny palących się stogów zboża, siana i słomy. Również raz po raz słychać było strzały armatnie lub detonacje bomb. Nad ranem dotarliśmy do miejscowości Zalesie. Panował tam niesamowity tłok. W Zalesiu spotkałem znajomego dyrektora pana Baranowskiego, który odradzał nam jechać dalej. Dał on nam do dyspozycji stodołę w podwórzu, gdzie rozładowaliśmy się, cały nasz dobytek został ulokowany w podwórzu i pod dachem. I tak czekaliśmy, co następny dzień

przyniesie. Na trzeci dzień zabrałem mój rower i pojechałem do Krobi, aby przekonać się na własne oczy, co się tam dzieje.

Otóż, miasto Krobia było puste, jakby wymarłe. Wszyscy mieszkańcy opuścili swoje domy i gospodarstwa i pojechali za innymi. Zostało tylko kilku starszych obywateli; byli to: mistrz piekarski Sylwester Ziemliński, kupiec Litwin i jeszcze ktoś. Przy moim domostwie było wszystko tak, jak zostawiliśmy, jednakowoż stwierdziłem, że ktoś tu nocował. Na podwórku przywitał mnie nasz wierny stróż (pies), któregośmy zostawili. Nakarmiłem gołębie, zabrałem wiernego psa i czym prędzej wróciłem do rodziny, która została w Zalesiu. Spotkałem tam kilku szabrowników, którzy korzystając z nieobecności właścicieli sklepów, okradali je. Naładowali sobie pełne worki rozmaitego towaru, najwięcej to kradli żywności, jak: cukier, cukierki, czekolady i unosili te zapasy do swoich wozów lub domów. Po powrocie do Zalesia rozpoczęliśmy naradzać się, co dalej czynić. Jedni uciekinierzy jechali dalej na północ, drudzy wracali do swoich domostw. I ja z rodziną spakowaliśmy się i piątego dnia naszego pobytu w Zalesiu, ruszyliśmy w drogę powrotną. Dojechaliśmy tylko do Wymysłowa. Tu napotkaliśmy już Niemców, którzy panoszyli się po polskiej ziemi, wyludnionej przez uciekających przed Niemcami Polaków" […].